

PONBÓCZKOWI ŚWIYCZKA



JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU

PONBÓCZKOWI ŚWIYCZKA

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU

WYDAWCY:

iM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
dla odmiany

PATRONAT MEDIALNY:

GAZETA
wyborcza

PONBÖCKOWI ŚWIYCZKA
Jednoaktówki po śląsku

Redakcja:
Waldemar Szymczyk

Korekta:
Grażyna Kwiek-Nowak

Uwaga:
w pisowni staraliśmy się zachować język i styl autorów

Skład i projekt graficzny:
Katarzyna Kępa-Lorenowicz

Zdjęcie na okładce:
Przemysław Jendroska
Sesja dla Teatru Śląskiego do spektaklu „Czarny ogród”
Na zdjęciu: Bernard Krawczyk

Projekt współfinansowany z budżetu miasta Katowice

Wszelkie prawa zastrzeżone © Copyright by Imago Public Relations oraz miasto Katowice

Katowice 2020

ISBN 978-83-953626-2-0

SPIS TREŚCI

X LAT Z JEDNOAKTÓWKAMI	6
Rafał Czechowski, prezes Imago Public Relations	
JUBILEUSZ W MASECZCE I Z DYSTANSEM SPOŁECZNYM	7
Ingmar Villqist, pomysłodawca i juror konkursu	
JEDNOAKTÓWKA JEST KOBIETĄ	9
Waldemar Szymczyk, juror konkursu	
SNY NA WALIZKACH	10
Piotr Zaczkowski, juror konkursu	

JEDNOAKTÓWKI

PŌNBŌCZKOWI ŚWIYCZKA	12
Monika Kassner	
ŻYWOBYCIE ŚWIYNTY BARBARY	26
Joanna Sodzawiczny	
ANNA	34
Krzysztof Kokot	
ZE COŁKIGO ŚLŌNSKA	49
Mateusz Czyba	
ZOLYTY KROPKA PL	75
Bożena Donnerstag	

SPIS TREŚCI

STEFAN, HELA I NIYDZIELA 85

Anna Kandziora

ŁOJCIEC PRZÓŁ POLSCE 91

Grzegorz Sztoler

BEDŁA 107

Wojciech Szwiec

JEDNOAKTÓWKA PO POLSKU 119

Irek Widera

SKROWKI Z ŻYCIO ZEFLIKA SUCHEGO 135

Anna Wojtkowska-Witala

X LAT Z JEDNOAKTÓWKAMI

Rafał Czechowski, prezes Imago Public Relations

Nasz konkurs na dramat w jednym akcie napisany po śląsku wpadł właśnie w objęcia mijającej dekady albo odwrotnie, tudzież uścisk to wzajemny. Po śląsku: pewny, solidny, może nawet trochę zbyt mocny, ale szczerzy, serdeczny. Od dziesięciu lat, co roku, kilkudziesięciu dramatopisarzy przysyła każdej jesieni swoje dzieła: osnute wokół historycznych wydarzeń, często osobistych lub – dla odmiany – wykreowane w wyobraźni teksty rozmaite: zabawne, wzruszające, refleksyjne, czasem poruszające. Bogactwo tematyki i stylów wypływa wprost z różnorodności Śląska i jego mieszkańców.

Każda edycja konkursu znajduje epilog w postaci antologii dziesięciu najlepszych dramatów. Dlatego w trakcie jubileuszowej, dziesiątej edycji oddajemy w ręce Czytelników dziewiąty tom „Jednoaktówek po śląsku”. To dobry moment, żeby wrócić na chwilę do genezy konkursu, ujętej w tomie pierwszym w taki oto sposób: „Kiedy ktoś ma dar czy talent idące w parze z entuzjazmem i tym swoistym »chceniem«, które na Śląsku objawia się zapalem do pracy bez jakiegos szczególnego oglądania się na nagrodę – jest to warte dostrzeżenia. Jeśli dodatkowo w podejmowanym wysiłku potrafi odnaleźć powody do radości i mieć zeń rodzaj satysfakcji potocznie (ale jakże trafnie) nazywany frajdą – jest to warte uznania. Jeśli wreszcie ten dar, pracę i radość oddaje – zgodnie z Polaków narodowym

charakterem – na wezwanie, powszechny apel ku wspólnemu dobru – jest to warte podziwu. A jeśli – jak to jest w przypadku autorów jednoaktówek po śląsku, czyli dramatów powstałych na konkurs »Gazety Wyborczej« i Imago Public Relations – w rezultatach tej pracy i frajdy jest jeszcze fantazja, kreatywność, umiejętność snucia opowieści i budowania napięcia, sprawność posługiwania się słowem i myślenia obrazem – jest to warte uwiecznienia i wydania książki takiej jak ta! (...) Znakomite rzeczy napisane przez dramatopisarzy amatorów, entuzjastów »ślóńskijskiej godki«, teatru i literatury. Różne jak losy Ślązaków, świadome coraz bardziej rozbudzonej współczesnej tożsamości, pełne charakterystycznych cech śląskiej obyczajowości. A wspólne dobro? Cóż... Dotąd nie wynaleziono lepszego sposobu na portretowanie rzeczywistości i prowadzenie rozmów o sprawach skomplikowanych niż poprzez kulturę.

Po niemal dekadzie od napisania powyższych słów trzeba wprowadzić ważną poprawkę: od lat to już nie „dramatopisarze amatorzy”, ale często profesjonalści, autorzy, literaci sprawiają, że „Jednoaktówki” nieustannie cieszą i co roku zaskakują, czyniąc z języka śląskiego środek wyrazu artystycznego i przez to nadając mu wartość. Należy Im się za to ukłon niski aż do teatralnych desek i bez mycki na gowie! Miłej lektury!

JUBILEUSZ W MASECZCE I Z DYSTANSEM SPOŁECZNYM

Ingmar Villqist, pomysłodawca i juror konkursu

Miało być tym razem wyjątkowo uroczyscie. Wymyśliliśmy z Waldkiem Szymczykiem, że finał X edycji konkursu na jednoaktówki po śląsku w grudniu 2020 roku zorganizujemy na dużej, teatralnej scenie, nagrodzone teksty będą czytać aktorzy scen śląskich i polskich teatrów grający pięknie po śląsku, miał być koncert, spotkania z laureatami poprzednich konkursów, promocja dziesiątego tomu nagrodzonych dramatów, wypasiony bankiet i... wielki bal z udziałem wszystkich uczestników, laureatów i sympatyków naszego konkursu.

Najbardziej cieszyłem się z tego balu, oczywiście miał to być bal przebierańców, wybrałbym kostium Krakowiaka, tego samego Krakowiaka, co to na brzegu Wisły w podwawelskim grodzie przypatrywał się osłupiały, jak Wanda, co Niemca nie chciała, niknie w smętnej wiślanej toni. Zdjąłbym na jubileuszowym balu czapkę krakowską utkaną pawimi piórami i nisko pokłoniłbym się naszym uczestnikom i laureatom, bo to przecież oni, piszący jednoaktówki po śląsku, stworzyli zadziwiające zjawisko literackie i społeczne, jakim jest pozyskanie przez nas już kilkuset tekstów dla teatru napisanych w języku śląskim.

To prawda, że trudno naszym autorom dostać się na sceny teatrów, już nie mówię, że w Polsce, ale i tu, u nas – na Śląsku, choć tych teatrów wiele, a dużych, małych i najmniejszych scen kilkadziesiąt. Jeszcze się boją zawiadujący tymi teatrami, choć Bóg mi świadkiem – nie wiem czego. Nie zapraszają ślascy redaktorzy naszych autorów do wywiadów w nielicznej już prasie papierowej, nie dają im głosu w internetowych wydaniach, nie zapraszają do Radia Katowice, o telewizji katowickiej nie wspomnę. Boją się. Dobrze im tak, widocznie mają coś na sumieniu.

Kiedyś żaliłem się wspomniałemu aktorowi, nieodżałowanej pamięci Bernardowi Krawczykowi, który kilka razy brał udział w czytaniach naszych nagrodzonych jednoaktówek, że nie rozumiem tego medialnego ostracyzmu. „Wiktor, co ty, nie wiesz dlaczego? Domyśl się...” – powiedział wtedy do mnie. Bernard Krawczyk nazywał mnie „Wiktor” – do dziś nie wiem dlaczego, a jak go o to pytałem, odpowiadał: „Przecież wiesz, Wiktor”. Nie wiem, ale mogę się domyślać. „Musicie robić ten konkurs – powtarzał Bernard – bo to ważne jest bardzo, Wiktor”. Będziemy robić, Beniu. Wiem, że jesteś z nami. Bardzo nam Ciebie brakuje.

Dziesiąta edycja naszego konkursu. Dziesięć lat to dekada – kawał czasu, ktoś, kto w czasie pierwszej edycji w 2010 roku miał dziesięć lat, dziś jest już po maturze. Może ten ktoś wysłał w tym roku jednoaktówkę na konkurs? Może wygra?

Pandemia koronawirusa zdemolowała wszystko wokół. Nasz jubileusz też. Wszystko na naszych oczach się przewartościowuje. Nic już nie będzie tak jak kiedyś. Ale kto kocha teatr, będzie go dalej

kochać. Kto pisał, pisze dla teatru, będzie nadal to robić, po śląsku też, w maseczce, w dystansie społecznym, siedząc w wannie ze środkiem dezynfekującym po brodzie, ale będzie pisać.

Sztuki, twórczości nie zabije żaden najwścieklejszy nawet wirus, bo sztuka, imperatyw tworzenia to od zawsze szczepionka na wszystko co złe i podłe na tym świecie.

Damy radę.

JEDNOAKTÓWKA JEST KOBIETĄ

Waldemar Szymczyk, juror konkursu

Spośród trojga zwycięzców dziewiątej edycji konkursu „Jednoaktówka po śląsku”, który odbył się w 2019 roku, pierwsze i drugie miejsce zajęły kobiety. Trzeci był mężczyzna, ale napisał wspaniałą sztukę o... kobiecie. Czyżby nasi autorzy wyprzedzili o rok to, co wydarzyło się w Polsce jesienią 2020 roku?

Pierwsze miejsce zajęła Monika Kassner za jednoaktówkę „Põnbõczkowi świyczka”, dramatyczną historię powojenną opartą na prawdziwych przeżyciach swojej rodziny. Drugie miejsce zajęła Joanna Sodzawiczny za „Żywobycie śwynty Barbary”, trzecie – Krzysztof Kokot za dramat „Anna”. Zwycięskie prace, a także siedem wyróżnionych przez jury, możecie Państwo przeczytać w tej książce.

Na konkurs w 2019 roku wpłynęło ponad 30 prac. Przeważali autorzy, którzy biorą udział w konkursie od lat, było kilku zawodowców, którzy systematycznie publikują i są już znanymi ludźmi w branży pisarskiej, ale pojawiły się też nowe nazwiska.

W skład jury tradycyjnie wchodził: Ingmar Villqist, pomysłodawca konkursu; Mirosław Neinert, dyrektor Teatru Korez; Piotr Zaczkowski, dyrektor Miasta Ogrodów; oraz Waldemar Szymczyk z Imago PR.

Laureaci IX edycji konkursu „Jednoaktówka po śląsku 2019”

1. miejsce

Monika Kassner – „PÕNBÕCZKOWI ŚWIYCZKA”

2. miejsce

Joanna Sodzawiczny – „ŻYWOBYCIE ŚWIYNTY BARBARY”

3. miejsce

Krzysztof Kokot – „ANNA”

Wyróżnienia:

Mateusz Czyba – „ZE COŁKIGO ŚLÖNSKA”

Bożena Donnerstag – „ZOLYTY KROPKA PL”

Anna Kandziora – „STEFAN, HELA I NIYDZIELA”

Grzegorz Sztoler – „ŁOJCIEC PRZOŁ POLSCE”

Wojciech Szwiec – „BEDŁA”

Irek Widera – „JEDNOAKTÓWKA PO POLSKU”

Anna Wojtkowska-Witala – „SKROWKI Z ŻYCIO ZEFLIKA SUCHEGO”

SNY NA WALIZKACH

Piotr Zaczekowski, juror konkursu

Tytuł jednoaktówki Moniki Kassner, laureatki pierwszej nagrody edycji 2019 – „Pönböczkowi świyczka” – mimowolnie coś zapowiedział. Mimo że każda rzeczywistość zawsze wymusza kompromis („diöblu ogarek”), dzisiaj większego ciężaru (to znaczy blasku) nabrały świeczki – chociaż niekoniecznie zapalane Panu Bogu, a życiu lub naszej nadziei na życie.

W dawnych tragediach żałobnice, nazywane płaczkami, skandowały głośno rozpacz, rozdrapywały ją na słowa i gesty. Śląskie płaczki są bezosobowe i rzadko coś rozdrapują, bo to po prostu łzy, regionalna odmiana słonej substancji i esencji, zwiłżającej oczy i ludzkie losy. Niewątpliwy jest związek płaczek – łez z rozkładem jazdy, naklejanym na murach, ogłaszanym w gazetach, a niekiedy wręczanym ojcom rodzin w zimnych urzędach. Dlatego na Śląsku, częściej niż gdzie indziej,

co pewien czas zyskiwały na wartości niewielkie, podręczne walizki. Duże kufry pozostawiano w piwnicach. Miały wówczas wiele wspólnego z trumnami, a trumien, jak wiadomo, nie da się zabrać w żadną podróż. Kobiety kroili chleb i sypały sól do woreczków z lekkiego płótna. Zawsze pozostawała szczypta, niewiele, akurat tyle, ile trzeba wysypać u progu domu. Ale nie lamentowano zbyt długo, a także nie uczono się wspomnień na pamięć, bo było bardzo dużo ważniejszych rzeczy do zrobienia. I chyba nie spoglądano za siebie.

Być może walizki są rekwizytem, bez którego trudno sobie wyobrazić następstwo wydarzeń w śląskich dramatach. Tych w życiu i tych, które chcielibyśmy pokazać na scenie. Ale czy da się opowiedzieć w teatrze znużenie historią i sny na wędrownych, ubogich, twardych walizkach?

JEDNOAKTÓWKI

PÖNBÖCKOWI ŚWIYCZKA

Monika Kassner

(ôparte na pröwdzie)

CZAS A PLAC:

Ôd listopada 1945 do kwiytnia 1954 roku. Chałpa ôd Suchanköw w Lipinach.

Kömisariat Milicji Ôbywatelskij w Lipinach. Sönd w Chorzowie.

Chałpa ôd Kusiöw w Lipinach. Kömynda UB w Świyntochłowicach.

Poczekalniö na banhofie we Zöbrzu. Gruba Barbara-Wyzwolynie w Chorzowie.

PERZÖNY:

HYJDŁA SUCHANEK

ALOJZ SUCHANEK

RUDI

MILICJANT

SYNDZIA SÖNDU ÔKRYNGOWYGO W BYTÖMIU (ekspozytura w Chorzowie)

KÖNRAD KUŚ

ACHIM KUŚ

KÖMYNDANT UB W ŚWIYNTOCHŁOWICACH (Ślönzök)

EMIL STRACHOTA

EWALD PARUCHA

FUNKCJONARIUSZE UB W ŚWIYNTOCHŁOWICACH

NOWO NARÖDZÖNY JANEK

STARA BABA Z POCZEKALNI NA BANHOFIE WE ZÖBRZU

chop ôd Hyjdli

synek ôd Suchanköw

richtich Polök

świadek

brat Kōnrada

kamrat Alojza z dōwnych löt, terözki ubek

wachtysz UB w Świyntochłowicach

mały synek ôd Suchanköw

BINA I

*Kuchnia we chałpie ôd Suchankōw. Hyjdla stoi przy piecu i warzy żur.
Do kuchni wpadō zafuczały synek Rudi.*

RUDI:

Mamo, mamó! Tata idōm!

HYJDLA (*kukō bez ôkno*):

Co ty to gōdosz! Banie żeś sie najōd abo co?

RUDI:

A kaj tam. Idōm srogōm gromadōm ôd Chebziō. Wszystkie choby duchy: brody
po pas, we hadry ôbleczōne, bez szczewikōw, a gyry ônucami ôbwiōnzane.

HYJDLA:

Niy gōdej!

*Gibko ściōngō zōpaska, ciepie jōm na stōłek i leci na plac.
Z naprzeciwka langsam, richtich choby duchy, idōm ôbdarte chopy.*

HYJDLA (*podłazi do jednygo śnich*):

Alojz, to ty?

ALOJZ (*wyciōngō chudo rynka do Hyjdli*):

Jō, Hyjdla, jō.

HYJDLA (*ślimtō a macō Alojza choby ślepy abo choby sprawdzała, eli ôn wszystko mō*):

Myślałach, co już niy przydziesz nazōt.

ALOJZ (*chytō jōm za rynka*):

Jō tyż piyrwy tak myśłoł, nale Pōnbōczek chcioł inakszyj.

HYJDLA:

Pōć do dōm, nawarzyłach żuru.

BINA II

Kuchnia we chałpie ôd Suchankōw.

HYJDLA (*ôdwijō ônuce z gyrōw Alojza*):

Kajś ty to bōł, mōj borōczku? Wyglōndosz choby śmiertka na pynzyji. Zarōz-
ki nagrzej ci wody, a jydz tyn żur, bo je gorki.

ALOJZ:

Po jakimu żeś sie z bajtlami wykłudziła aże na sôm wiyrch?

HYJDLA:

Kej ruskie cie wzyli, na drugi dziyń przyszła nowô władza ludowô i nôs wyciepla. Najsamprzôd poszłach do twojij matki, a wiysh wiela u nij je placu. (*westchnienie*) Dobrze, co zech robiyła na noc, bo bych lygała na sieni. Potym Emil Strachota poszoł na UB i pedzioł, co my niy sôm żôdne wrogi systymu i wtynczôs dali nôm ta ajncla nafołowanô wanckami. (*Hyjdla ôglôndô poranione gyry Alojza i bolôki na cołkim jego cieie*) A co ône z tobôm zrobiyli?

ALOJZ:

Niy chca ô tym gôdać. Lepij do ciebie, cobyś wiydziała jak nojmynij.

HYJDLA (*znerwowanô*):

Jô tukej walczyłach ô cołko familijô. Ani niy wiydziałach, co cie jeszcze ôbôcza. Radzili mi, cobych sie wzyła inkszygo chopa, nale jô sie zaparła i czekałach. A ty ze mnôm terôzki gôdosz choby z bajtlym?

ALOJZ:

Niy wiysh, jak mi ciynżko ô tym wszystkim ôsprôwiać. Chciołbych, ażeby mi pamiyńć ôdyjmło, nale to sie tak niy dô. Zaaresztowali cołkô naszô brygada. Cug, kerym nôs wiyżli, zawarli na trzy tydzie. Niykere tygo niy strzymali. Jechalimy śnimi do końca, trupy wycieplimy na miejscu. Chopy zamarzali w robocie. Na ôbiôd dôwali nôm zupa z rybich ôści ze czôrnôm, niymytôm rzepôm.

HYJDLA (*siadô za stołym a chytô sie za gowa*):

Na co nôm to prziszło, Alojz. Na co nôm to prziszło.

BINA III

Kômisariat Milicji Ôbywatelskij w Lipinach (listopad 1945).

ALOJZ (*włazi rajn, syminô mycka na przywitanie i kładzie papiôry we ôkienku*):

Dobry dziyń. Miołech sam przyjść, kej przyjada ze Rusyji.

MILICJANT (*zajynty szkryflaniym, kej słyszy „ze Rusyji”, gibko podnosi gowa i spojierô we papiôry*):

Obywatel Alojzy Suchanek (*biere piyczôntka z datownikym i przybijô na zadnij zajcie biletu ze Rusyji*). A którą to grupę volkslisty macie?

ALOJZ:

A na co wôm to wiydzieć?

MILICJANT (*zeszterowany*):

Ja tu reprezentuję władzę Polski Ludowej i kiedy pytam, waszym obowiązkiem jest odpowiadać. Więzienia i obozy są pełne takich chojraków jak wy. Ale nie martwcie się, was jeszcze upchniemy. No to słucham, jaką to macie grupę?

ALOJZ:

Dwójka.

MILICJANT:

To się dobrze składa, obywatelu Suchanek, bo jeszcze się pewnie zobaczymy. I zapamiętajcie raz na zawsze (*ôddôwo Suchankowi bilet*): Tu jest Polska. Niemców tu nie chcemy.

ALOJZ:

Nale jö niy je żödyn Niymiec. Jö je Ślönzök. I nic żech niy zrobiół.

MILICJANT:

Obywatelu Suchanek... To się jeszcze okaże.

BINA IV

*Piöntö rano. Ôstre klupanie do dźwiyrzy chałpy ôd Suchankôw.
Alojz ôtwierö. Na progu stojöm trzi chopy:
milicjant z komisariatu i dwa ôbleczöne po cywilnymu.*

MILICJANT:

Alojzy Suchanek, idziecie z nami.

ALOJZ (*zdziwiöny i zeshterowany*):

Po co żeście prziszli z tymi gywerami? Trza böło mje zawrzić na kômisaria-cie, a niy familijö mi po nocy straszyć. Przeca nic żech niy napochoł.

MILICJANT (*döwö Alojzowi pod pysk nakaz heresztowaniö*):

Obywatelu Suchanek, mówiłem, że to się jeszcze okaże.

BINA V

Sönd w Chorzowie. Sala rozpraw (marzec 1947).

SYNDZIA:

Sprawa przeciwko Alojzemu Suchankowi, oskarżonemu o to, że będąc obywatelem polskim, dopuścił się odstępstwa od narodowości polskiej przez to,

że w czasie pomiędzy pierwszym września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku a dziewiątym maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku zgłosił swą przynależność do narodowości niemieckiej. Czyn ten stanowi przestępstwo z artykułu pierwszego paragraf pierwszy z dwudziestego ósmego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku o odpowiedzialności karnej za odstąpienie od narodowości polskiej w czasie wojny. Wzywam na świadka Kõnrada Kusia.

*Do sali rozpraw włazi mały, poskryncany karlus;
stõwõ na przesuchanie, a niy patrzy ani na Alojza; syndzia pyto świadka:*

Czy podczas wojny Alojzy Suchanek zgłosił czynną przynależność do narodu niemieckiego?

KÕNRAD KUŚ:

Ja.

SYNDZIA:

W jaki sposób?

KÕNRAD KUŚ:

Mioł dwõjka i bõł w NSKK.

SYNDZIA:

Wyjaśnijcie, obywatelu, co oznacza ten skrót.

KÕNRAD KUŚ:

Narodowosocjalistyczny Korpus Motorowy.

SYNDZIA:

Czym ta organizacja się zajmowała?

KÕNRAD KUŚ:

Szkołyła poborowych, a potym kerowała do jednostek pancernych i zmotoryzowanych. Rychtowali jich do õbsługi i utrzymywania motorõw i autokõw.

SYNDZIA:

Rozumiem, że maszyny te były przeznaczone na front?

KÕNRAD KUŚ:

Ja.

SYNDZIA:

Czy działalność oskarżonego w wymienionej wyżej organizacji to jego jedyna wina?

KÕNRAD KUŚ:

Niy. Kej my śnim gõdali, niy mogli my używać polskiego.

SYNDZIA:

Jakoś na to reagował? Używał wulgaryzmów? Groził wam?

KÖNRAD KUŚ:

Kej mōj brat Achim godōł po polsku, Alojz piznył go w pysk.

ALOJZ (*stōwo*):

Cygaństwo!

SYNDZIA:

Jeszcze jedno takie wystąpienie, a oskarżony zostanie wyprowadzony z sali rozpraw! (*Alojz siadō zrezygnowany*) Świadek jest wolny.

*Kōnrad Kuś wylazi zadkiym do dźwiyrzy
jeszcze barzij poskryncany
niż przed zeznaniym.*

SYNDZIA:

Zarządzam piętnaście minut przerwy.

Wszystkie wylażōm ze sali. Za ćwierć godziny sōm nazōt.

SYNDZIA:

Oskarżony, powstać.

Alojz stowo.

SYNDZIA:

Z zeznań świadków oraz z opinii znajdujących się w aktach wynika, że oskarżony Alojzy Suchanek był członkiem NSKK, a Polakom zabraniał rozmowy w języku polskim. Zatem w czasie wojny postępowaniem swoim, niegodnym obywatela państwa polskiego, czynnie zgłosił swoją przynależność do narodowości niemieckiej. Czyn ten stanowi zbrodnię z artykułu pierwszego paragraf jeden dekretu z dnia dwudziestego ósmego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku o odpowiedzialności karnej za odstępstwo od narodowości polskiej w czasie wojny. Wobec tego skazuję wyżej wymienionego obywatela Alojzego Suchanka na półtora roku więzienia.

GŁOSY Z SALI:

Zdrajca, folksdojcz, chachor!

SYNDZIA:

Wyprowadzić oskarżonego.

*Wszystkie wylażōm ze sali. Niykere podłazōm do Alojza i plujōm mu pod nogi.
Alojzowi udōwo sie chycić Kōnrada Kusia za rynków.*

ALOJZ:

Gōdej, co jō zech ci zrobiył?

Kōnrad nic niy gōdō, ôdwracō sie i ôdłazi. Alojza zabierajōm szandary.

BINA VI

W dōma u Kusiōw. Kōnrad z bratym Achimym siedzōm wele stoła.

KŌNRAD (*rachuje piyniōndze*):

Jedna tajla do mje, drugō do ciebie. Kejby Alojz niy przyszoł nazōt ze Rusyji, mielibymy pokōj.

ACHIM:

Ōn nōs przeca wszystkigo wyuczył, a my sōm take ipty.

KŌNRAD:

Niy być baba. Kej zech sie pytoł we tyjatrze ô elektryka do nowygo przedstawieniō, ôd razu mi pedzieli, co terōzki wszystko przyrychtuje zaś Alojz Suchanek. Zarōzki stracilibymy nasze fuchy. Niy mōg zech tygo tak ôstawić.

ACHIM:

Jō tak niy moga, weź sie tyn gelt (*ôddōwo swoja tajla bratowi*). Umywōm rynce. Niy chca być winien cierpieniō tygo chopa.

KŌNRAD:

Niy gōdej, co ōn je taki niywinny. Przeca mioł dwōjka. Niy chcesz, jō to wezna na siebie, gelt tyż. Żōdne piyniōndze niy śmierzōm.

BINA VII

Biuro kōmyndanta UB w Świyntochłowicach.

KŌMYNDANT:

Pōłtora roku za zdrada narodu? To cosik mało, ôbywatelu Suchanek.

ALOJZ:

Żōdnego zech niy zdradził. Żōdnymu niy dołech w pysk. Żōdnymu niy broniłech gōdać po polsku. Kōždy niych sie gōdō po jakiemu chce. Mje nic do tygo.

KŌMYNDANT:

Jŏ mŏm tukej czŏrnŏ na biołym, coście narobili, i to je do mje nojważniejsze. Niy takich miglancŏw my tukej mieli, obywatelu Suchanek. Nale niy po to żech wŏs tukej zawezwoł, coby sie z wami ôsprŏwiać. Strachota padoł ô wŏs same dobre rzeczy. A żech sie zlŏnk, co my zawarli jakigo janiŏła. Wachtyrz Parucha, do mje!

WACHTYRZ PARUCHA:

Rozkaz, ôbywatelu kŏmyndancie!

KŌMYNDANT:

Weźcie tygo borŏka do piwnice, bo juź na niygo patrzeć niy moga.

ALOJZ:

Nale... ôbywatelu kŏmyndancie... jŏ nic niy zrobiył.

*Wachtyrz popychŏ wiyńźnia przed sobŏm do piwnice.
Alojz ôbracŏ sie do wachtyrza.*

ALOJZ:

Nale jŏ je niywinny. Przeca wycie, wiewa niywinnych ôdpowiadŏ dzisiej za niy swoje grzychy!

WACHTYRZ (*ôtwierŏ dźwyrze*):

Właż, a tyła niy gŏdej! Emil Strachota padoł, co mŏmy cie trzimać... nale niy za darmo. Przeblec sie. Mŏsz tukej faska z kapustŏm, właż a deptej. Ino coby mi bŏła miynko kej u mojjj ômy.

Zdziwiŏny Alojz włazi do faski i deptŏ kapusta.

BINA VIII

*Cela Alojza. Prycza, jedyn stołek.
Alojz i Emil Strachota kurzŏm cygaryty.*

ALOJZ:

Chopie, mŏj kamracie, kajś ty włŏż? Tukej bezmaść same mordyrze a chachary. I tyn kŏmyndant: gŏdo po naszymu, a choby niy nasz. Przeca ty mŏsz dwŏjka, tak jak jŏ. Żŏdyn cie niy pytoł?

EMIL STRACHOTA:

Zawrzij lepij gymba a być rady, co kejś przyszło ze Rusyji, zarōzki cie na Zgodzie niy zawarli. Stamtōnd mało fto wylōz żywy. A po coś ty sie zapisoł do tygo dioseckigo NSKK? Rozum ci ôdyjmło abo co?

ALOJZ:

Wiesz, co zōwdy lubilech autoki. Chciolech sie jedyn kupić i tam mōg zech sie przyrobić. Żōdnych poborowych zech niy szkolył. Robilech ino przy autach ôsobowych. Żōdnych na frōnt zech niy rychtowoł.

EMIL STRACHOTA:

Gupie gōdanie. Wszystkie bōły na frōnt.

ALOJZ:

Możno i gupie, nale niy wiym, co lepsze – kojfnōnc na Zgodzie abo przemienić szaket i zrobić sie srogim Polokiym a komunistōm. Niy gańba ci? Kejby twōj fater wstoł z grobu i cie ôboczył, zarōzki by sie nazōt legnył. Rzykosz ty aby jeszcze?

EMIL STRACHOTA:

Kejbych niy włōz do UB, toby nōm nasz wanielicki kościōł zawarli. Ino bez-tō, co my sie ôblekli na rynce bioło-czerwōne bindy i wachowali go dziyn a noc, dali nōm pokōj. Ôd razu mje wzyli do UB i żōdyn niy pytoł, jakō mōm volkslista. I dobrze, coby tak ôstało. A kejby mje tu niy bōło, forszteluj sie, to można byś już niy żył.

ALOJZ:

Nale ludzie przeca gōdajōm.

EMIL STRACHOTA:

Ludzie nych gōdajōm, co chcōm, a Pōnbōczek wiy, co zech mu kościōł wyretowoł. Powiym ci jedno: po tym, kej we łaźni naszych prali, aże w ausgusach pływała krew, a kości jim lōmali choby suche asty, przysiōng zech sie, co wszystko strzimia. A ty, Alojz, pamiyntej: mōsz familijō, beztō rōb, co ci bydōm kōzać, a wyleziesz stōnd w jednym kōncku.

BINA IX

*Dwa roki niyskorzjy (październik 1948). Chałpa ôd Suchankōw.
Hyjdla kōmpie niydōwno narodzōnygo Janka.
Wieczōr. Klupanie do dźwiyrzy.*

HYJDLA:

Alojz, ôdewrzij, bo bajtla terōzki niy ôstawia.

*Alojz ôdewierō dźwiyrze. Na sieni stojōm dwa znajōme Alojzowi ubeki
a milicjant z komisariatu.*

ALOJZ:

Ô co sie zaś rozchodzi?

MILICJANT:

Macie kwadrans na spakowanie rzeczy i opuszczenie mieszkania. Jedziecie do siebie, obywatelu Suchanek.

ALOJZ:

Co wy to fanzolicie? Przeca jō jest u siebie.

MILICJANT:

Nie tym tonem, obywatelu, nie tym tonem. Pokażcie zaświadczenie, coście tydzień temu odebrali w urzędzie powiatowym.

Alojz wyciōngō ze szranku zaświadczyne i dōwo milicjantowi.

MILICJANT:

Proszę bardzo, tu piszą: narodowość niemiecka. I czego wy tu jeszcze, Suchanek, szukacie?

ALOJZ:

Swoje zech ôdsiedzioł, a tygo zaświadczynia zech niy naszkryfloł.

MILICJANT:

A co to kogo obchodzi? Niemiec to Niemiec, a my tu Niemców nie chcemy. Pakujcie się i, jak to u was mówią, raus!

ALOJZ:

A moja familijō?

MILICJANT:

Wszyscy. Co do jednego.

ALOJZ (*do Hyjdl*):

Pakuj bajtle, wyjeżdżōmy do Nymiec.

HYJDLA:

A po jakiemu?

ALOJZ:

Sōmy Nymce i nōs tukej niy chcōm. Mōmy piytnńōście minut.

HYJDLA:

Przeca ty żeś już swoje ôdsiedzioł...

ALOJZ:

Widać niykerym to niy starczyło.

Suchanki wylażōm z dōma.

MILICJANT:

Zaplombować drzwi.

Ubeki plōmbujōm dźwiyrze ôd chałpy Suchankōw.

BINA X

*Familijō Suchankōw i inksze „Nymce” siedzōm w ciżbie w poczekalni
na banhofie we Zōbrzu.*

HYJDLA:

Pōnbōczku, wela my tukej jeszcze bydymy czekać? Bodej by nōs już powy-
strzylali, mielibymy pokōj.

ALOJZ:

Niy gōdej. Tyla my strzimali, strzimiymy jeszcze i to.

Mały Janek ryczy na rynkach Hyjdl.

GŁOS Z CIŻBY:

Po jakiemu tyn bajtel tak ryczy? Cosik wōm potrzeba?

HYJDLA:

Głodny je, a jö niy môm już mlyka. Wiela my tukej jeszcze bydymy siedzieć?

STARŎ BABA Z CIŻBY:

Möcie tu trocha. Wziyłach na rajza, nale bajtlowi nojwiyncyj sie przydö.

HYJDLA:

Dziynkuja wôm. Niyh Pönböczek wôm przaje.

*Hyjdla nalewö mlyko do flaszki z nupłym i döwo bajtlowi.
Do poczekalni wläžôm dwa szandary i dwa chopy po cywilnemu;
jedyn to Emil Strachota, kery rozglöndö sie we cižbie.*

EMIL STRACHOTA:

Alojz, co ty tukej robisz?

ALOJZ:

Wyciepli nös i zaplömbowali chałpa. Gödajôm, co jadymy do Niymiec.

EMIL STRACHOTA:

Nale tyn cug już nikaj niy pojedzie.

ALOJZ:

Co ty fanzolisiz!?

EMIL STRACHOTA:

To miöł być östatni cug do Niymiec, nale go zawröcajôm. Jedziecie nazöt do dôm.

ALOJZ:

A zaplömbowane dźwiyrze?

EMIL STRACHOTA:

Niy starej sie. Jakoś to załatwimy.

BINA XI

*Emil Strachota i dwa mode ubeki
stojōm pod dźwyrzami chałpy ôd Suchankōw.*

EMIL STRACHOTA:

Lyjo, wlyż do Alojza z dachu, bez ôkno, a klupej w dźwyrze ôd środka, choćy cie zawarli rajn.

Mody ubek włazi na strych bez drugie dźwyrze naprzeciw; słyhać trzaskane ôkno, a zarōż potym klupanie w dźwyrze; Emil Strachota zrywō plōmby i wypuszczō Lyja.

EMIL STRACHOTA (wyciōngō z kapsi filok i koncek papiōru):

Piszemy: z powodu omyłkowygo zaplōmbowaniō w mieszkaniu Suchankōw jednygo z naszych ludzi plōmby musiały zostać usuniynte. Podpisano: podporucznik Emil Strachota.

BINA XII

*Familijō Suchankōw włazi do dōm;
Hyjdla stōwiō kofry na zol, Janka kładzie w łōżeczku,
synek Rudi wyciōngō blajsztift i heft do rysowaniō.*

ALOJZ:

Ôstōw wszystko w kofrach. Jō już tukej miyszkać niy poradza.

HYJDLA:

Nale kaj my terōzki pōdymy?

ALOJZ:

Ganc egal. Choby do Chorzowa. Tam nōs niy znajōm. Napocznymy wszystko ôd poczōntku. Za wiela żech tukej wycierpioł. Czowiek może mocka strzimać, nale myli sie, kej sie forszteluje, co poradzi strzimać wszystko.

Sztrajk po tragediji na grubie Barbara-Wyzwolyńie w Chorzowie (marzec 1954).

EMIL STRACHOTA:

Dejcie tukej Alojza Suchanka.

WACHTYRZ PARUCHA:

Tak jest, ôbywatelu pułkowniku.

EMIL STRACHOTA:

Siednij sie ino... (*wyciōngō cygareta*). Zakurz sie... (*czynstuje Alojza i zaciōngō sie*). Zōwdy wlyziesz w jakie gōwno. Musiołś zaś ôtworzyć pysk?

ALOJZ:

Przeca niy mōg zech inakszyj. Tam zginyło sto dwajścia chopu, a niy, kej gōdō waszō władza, ôziymdziysiōnt (*Alojz ôdkłōdō cygareta*).

EMIL STRACHOTA:

Posuchej mje, Alojz. Siedza tukej a wachuja takich gorkich kej ty. Spōmnij sie hereszt a poczekalniō w Zōbrzu. Abo to strzimiymy, abo nōs ta maszina przemiyle. Pamiyntej: Pōnbōczkowi świyczka, a diōbłu ôgarek.

ŻYWOBYCIE ŚWIYNTY BARBARY

Joanna Sodzawiczny

OSOBY:

BERBLA¹ Barbara, cera
FATER
JANIOŁ

PROLOG

List łojca do cery

(czytany głosym łojca abo głosym cery).

Cera, bydzie to już łożym lot nazadek, jak zech ci zezwolił na smykanie sie po świecie. Chciałaś rajzować, toś rajzowała. Samaś zaczęła sztyudyrować roztomańte rube ksionżki. Na to tyż dołech ci zwola, ale tera padom, że mosz ciś ku chałpie. Jo już je stary koby, coroz czynści mie cosik morzy. I tera jeżeś mi tukej potrzebno, a niy kańs tam fort łod chałpy. Bestoż padom: mosz sie do chałpy wrócić, i tak, co bych cie sam widzioł niy niyskorzi, jak za dwa tydzie. Eli by ci jakich gupot do łeby niy nalazło, to wroz z tym brifym posyłam dwóch chopa. Pomogom ci tasze nosić i do chałpy nazot skludzom.

Chow sie, Fater!

AKT I

BERBLA:

Witejcie, łojciec. Ciesza sie, że wos widza w dobrym zdrowiu. Pisaliście w brifie, że słabujecie.

FATER:

Berbla! Nareszcie! Dugoch musioł czekać...

¹ U nos w doma na ciotka Barbara padali Berbla, niy wiym, czy to tak yno u nos, czy u inkszych tyż sie tak trefiało, ale bestoż bohaterka sie tak mianuje.

BERBLA:

Padołeś, że mom czas dwa tydnie, gynau dzisiej mijo. A to niy tak drap pociepać wszyjstko i przyjechać tukej.

FATER:

Dobre! Dobrze, żeś już je, i widza, żeś wygryfniała. Licko gładkie, ślypka modre i fest żeś niy zrubła.

BERBLA:

Dzienukuja wom, łojciec, za te dobre słowa.

FATER:

Szwoczki już na ciebie czekają, nowych klajdów ci naszyją, yno mosz je przypilnować, coby były richtig fajnije i niy mosz w nich wyglondać jak jakie fifydło.

BERBLA:

Jeszcze roz dziynkuja, ale niy wiym, czym żech se zasłużyła na nowe szaty.

FATER:

Cicho! Niy zawodzej mi sam tera. Musza jeszcze pora rzeczy łobsztalować. Twój karlus przyjedzie sam w przysłym miesiącu. Wszytoko musi być przyrychtowane.

BERBLA:

Mój karlus? Co mo być narychtowane? Chyba musisz mi to wytuplikować.

FATER:

Co ci mom tuplikować? Wydowosz sie! Twój karlus przyjeżdżo i musisz być wysztiglowano.

BERBLA:

Fater, ale jo żodnymu nic niy łobiecywała. Jo niy mom karlusa.

FATER:

Mosz, boch ci go som łobsztalowoł. Synek naszych somsiódów. Sie łochajto-cie, ty bydziesz miała chopa, łon sie dobrze wżyni, gołodupiec to ni ma to i majontek zysko.

BERBLA:

Ale łojciec... Jo niy chca... Jo już przysięgła Ponboczкови, że byda jego.

FATER:

Komu?

BERBLA:

Jak jo rajzowała, toch poznała tako nowo wiara. W Ponboczka, łon je nojwyynkszy i nojmiłosierniejszy ze wszytkich.

FATER:

Jeszcze jedyn bog? Kery to wymyślił?

BERBLA:

Łon ni ma jeszcze jedyn. Łon je Jedyny!

FATER:

Gupoty mi sam jakieś ciśniesz. Wierz se, w co chcesz. Jak sie wydosz, to mie to bydzie jedno...

BERBLA:

No ale... skuli tego larmo. Jo sie chca wydać, ale za niego...

FATER:

A skond łon je? Zabraný? Majątek wielki? Kajs ty go trefiła? Czamu sie Pon-boczkiem mianuje? Eh, dobra, nych sam przyjedzie. Pogodomy i sie łobejrzy. Jak mo rubszy portmanej łod tego, coch jo ci nasztalowoł, to dom wom zwola.

BERBLA:

Ale łojciec... Bo łon niy żyje...

FATER:

Co? Co ty mi tu wciskosz? Wzion i umar, a ty sie za niego chcesz wydować?

BERBLA:

No bo Żydy go zabiły, ale łon zmartwychwstoł, potym wloz do nieba. To ni ma take leke do wytuplikowania...

FATER:

Jo widza, że tyś sie na tych rajzach gupot nasuchała. Umar, a żyje. Widzioł go fto łod tego czasu?

BERBLA:

No niy... Ale... No niy wiym, jak ci to padać. Tego tak leko niy idzie opowiedzieć. W to cza uwierzyć...

FATER:

Smolisz mi sam i tyła... Padom, wydosz sie, to se wierz, w co chcesz. To już bydzie staranie twójigo ślubnego...

BERBLA:

No ale ło to sie rozchodzi, że jo chca sie za Jezusa wydać.

FATER:

Dyc tyła coś mi padała, że łon umar. To jak ty to chcesz zrobić?

BERBLA:

Bo jo mu przed ołtarzym przysięgła i tera to jo do niego dziynnie rzykom i prosza Go o roztomańte łaski do ludzi...

FATER:

Kule, dziółcha, rzykej se kaj chcesz i do kogo chcesz... Po ślubie!

BERBLA:

Jo niy póda za żodnego karlusa!

FATER:

Pódziesz! A żeby ci sie lepi ło tym myślało, to cie koża zamknąć na chwila w wieży. Posiedzisz, pomyślisz, zmądrzejesz. Wyleziesz, jak rozumu nabieresz.

BERBLA:

Moga is do wieży. Jo mom przy sia wszystko, co poczebuj. Ponboczka w sercu czimiam i łon mi styknie...

FATER:

Łobejrzymy, co bydzie, jak tam posiedzisz o suchym pysku. Brać mi jom sprzed łoczow i zawrzijcie jom we wieży.

AKT II

BERBLA:

Ponboczku mój jedyny, jo cie prosza, nadej tymu moimu fatrowi rozumu. Łon tego niy umi spokapić, że jo Ciebie pszaja i zech se Ciebie wybrała. Jo yno Ciebie chca i ty mi stykniesz. Prosza, Ponboczku, prosza, wysuchej mie...

FATER:

Berbla! Berbla!

BERBLA:

Ja, fater?

FATER:

Głodność? Czeci dziyń tam siedzisz, zjadłabyś co?

BERBLA:

Ja, łojciec, choby i kraiczek chleba i ło woda prosza... Fest mie suszy.

FATER:

Niyh i tam fto do wody... Ale yno poł szolki... A pojeś dostaniesz, jak mi powiysz, czy pódziesz za karlusa.

BERBLA:

Niy, łojciec. Niy póda. Padałach wom, że jo już mom swoigo ślubnego.

FATER:

Ja, umartego, kerego żodyn niy widzioł... Berbla, jo sie dowiadywoł o tym twoim Jezusie, co to łaził i niby nauczoł. Powiem ci tela: Cysorz je fest niy-rod, żeby te historyje ło nim łopowiadać. Padoł, że koždy, fto ło tym bydzie

papłoł, położy łeb na gnotek... Lepi do cia, jakbyś sie ugnęła i karlusa wziyna. Bajtle bydziesz miała, gupoty ci z łeby wyluftują.

BERBLA:

Niy, łojciec... Jo wom padała, że jo już mu łobiecała.

FATER:

Pierona kandego! Wiedziolech, że mom cie do ty Nikodemii niy puszczać, ale matka sie uparła i tera mosz! Zawsze zech godoł, że niy cza żodnymu suchać babskigo kwynkanio. Suchej, b cera, jo niy chca do ciebie źle. Synek zabrany. Bitny. Z wyglądu tyż ujdzie. Niyh przyjedzie, poznosz go, pogodocie, można na jaki szpacyr pudziecie i wtedy sie łoboczy co...

BERBLA:

Niy! Jo już wybrała.

FATER:

Jerona, babo, zmuszosh mie, żebych zrobił coś, czego niy chca. Jak mi sie tera niy zgodzisz, to szmary dostaniesz. Batym koża po rzici naczaskać!

BERBLA:

Jo już wom pedziała, coch wybrała, a wy róbcie, co chcecie.

FATER:

Eli tak, to: strażę, jak piźnie sześ na wieczór, to jom stąd wyciągniecie i przy wszystkich ji wyszczylocie. Dwadziścia razy po goły rzici. Tu, na placu, przy wszystkich. Niyh gańba bydzie jeszcze wiynkszo!

BERBLA:

Ponboczku, prosza Cie o zmiłowanie. Prosza, wysuchej prośby twoi cery, jo sie boja. Prosza Cie, dej mi siła, żebych poradziła to szczimać, abo zrób coś, co je yno w Twoi mocy.

Naroz sie fest jasno zrobiło w celi i Berbla uwidziała Janioła, kery ji padoł:

JANIOŁ:

Niy bój sie, Berbla, niy strachej sie, twój łojciec łobiecoł ci szmary, ale skuli tego, że tak Ponboczkwowi zawierzyłaś, łon mie sam pošlo i mom ci łod niego padać, że ty niy bydziesz czuła dzisioj żodnego bólu... Jak cie bydom prać, to tak, choby cie yno piyrzym szmyrali. Ponboczek ci pszaje, a ty ufej mu dali...

FATER:

Berbla, sześ pizło, wylazuj!

AKT III

FATER:

Berbla, doś tego. Gańby żeś mi wczoraj narobiła, jak żeś sie zaczęła chichrać, jak cie prali. Tera jedne ludziska padają, coś je czarownicom, a inksi wołają, że sie z tobą niy poradza dać rady. Jo już ci tego niy moga przepuścić! Abo mi przyznosz recht, abo inakszy bydymy godać!

BERBLA:

Łojciec, jo życie swoje łoddała Ponboczku. Jo mu pszaja i wiym, że łon tyż mie pszaje. Róbcie, jak uważacie, że trza. Jo wiym swoje i sie niy ugna!

FATER:

Jak tak, to łoboczmy, czy cie tyn Ponboczek bydzie chcioł, jak szpetno bydziesz... Straże! Rozkazuja wom łobciąć ji cycki. Żodyn chop cie już niy bydzie chcioł. Bo kery by se wzion płasko baba?

BERBLA:

Ponboczku, zmiłuj sie nady mną...

Po dłuższy chwili:

FATER:

I co, tera bydziesz sy mną lepi godać?

BERBLA:

Ale jo wom, fater, w niczym niy zawiniła... Jo wom ani razu niy odpyskowała. Padom wom yno, jako je moja wola. Jak już, to wyście mie łocyganili i cygaństwym zmusili, cobyh nazot przyjechała. Padaliście, że vos choroba morzy i że mie poczebujecie.

FATER:

Boch cie poczebował. Chciolech cie wydać. Karlus zabrany, nic by ci niy brakowało w życiu, ani piniyndzy, ani szatow, ani nic. A tera co? Taki szpetny to cie żodyn niy weźnie.

BERBLA:

Toż tera mi docie spokój? Moga sam łostać i rzykać?

FATER:

Niy! Ludzie sie już sy mnie śmieją, że cery do porządku przykludzić niy umia. Toż tera bydzie tak: abo powiysz przy wszystkich, że żeś fandzoliła i że jo mioł recht, i że tera już mie usuchniesz, abo położysz gowa na gnotek! Taki mosz wybór.

BERBLA:

Fater, zrozumcie, że jo niy moga tak padać, jo bych sie wtedy zaparła Ponboczka, a tego zrobić niy chca! Niy zrobia tego!

FATER:

Twój wybór, jutro z rana gowa na gnotku położysz. Som ci jom utna, bo inaczy ludzie bydom godać, że mi cera na łeb wlaźła. Rychtuj sie!

BERBLA:

Ponboczku, zmiłuj sie nady mną. Jo je niygodno, żeby stować przed Tobą, ale prosza, łodpuść mi wszystkie grzychy i przewinienia. Wybocz tyż moimu łojcu. Niyh mi sie stanie podug woli Twoi.

*Rano Berbla gowa na gnotek położyła, fater sie zamachnął
i jednym ciynciem gowa ji urżnoł, ale zaro tyż pieron go szczelił
i na miejscu trupym położył. Berbla ponoć jeszcze dychała,
aż i keryś do gymby hostio wsadził, dziepiero potym łona wziyna i umarła.*

EPILOG:

JANIOŁ:

Berbla, Berbla, łotworz łączy! No już, już żeś sam je. Sam ci żodyn już niy ukrziwdzi.

BERBLA:

Ale kaj jo je?

JANIOŁ:

No tu, w niebie, Ponboczek wzion cie do sia. Uwierzyłaś, niy ugiełaś sie, bestoż jeżeś sam tera.

BERBLA:

Ale to jo żyja czy niy żyja?

JANIOŁ:

Tam, na dole, to żeś umarła. Tam cie już ni ma. Tera tukej żyjesz. Tak jak Jezus na ziymy łobiecycwoł, tak to je tukej spełnione. My som fest radzi, żeś sam do nos trefiła... I powiym ci, że Ponboczek już na ciebie czeko. Padoł, że jak już spokapisz, co to sie podziolo, to mosz tam do niego przyjś na wyirch. Jo ci padom, jak cie bydzie maszketami czynstowoł, to bier, a schowej trocha do kapsy do mnie. Takich maszketów jak łon mo to nikaj niy skosztujesz. Nikaj! Nawet na łodpuście u Widery. Suchej, jeszcze ci jedno powiym. Tam

na wyrchu padają, że Ponboczek mo do ciebie specjalno fucha. Bydziesz patronkom bergmonów i hamerników.

BERBLA:

Patronkom? Co to znaczy?

JANIOŁ:

No że teraz to do ciebie bydom rzykać. Tyś, chociaż sie bołaś, toś sie niy ułynkła, to tera ci, co sie w robocie bojom, do ciebie rzykać bydom. Musisz na nich paczeć, a w szczególności dować pozor na bergmonów, grubiorzy, ryli, kopoczy, hajerów i hamerników, no i tyż trocha na tych, co mo ich gwałtowno śmierć spotkać.

BERBLA:

Ale że jo? Jo podołom?

JANIOŁ:

Dziółcha, podołałaś za życie, to i tera dosz rady. A jeszcze ci jedno powiym, i to je tera nojlepsze. Ponboczek chce ci tyż dać Śląsk pod opieką. Kule. Ty nie mosz pojęcia, jak tam je fajnie. Koždy z nos chce tam lotać. My sam mamy tako raja, kedy fto tam leci. Nojlepsze miejsce na cołki Ziymy. W każdym razie jakbyś tam kedy co poczebowała, to weź mie pošli. Bydziesz pamiętać, ja? A tera podź, zakludza cie. Ponboczek je wieczny, ale niy lubi czekać.

Krzysztof Kokot

OSOBY:

POWSTANIEC 1

POWSTANIEC 2

PAWEŁ powstaniec dowodzący

ANNA dziewczyna około 20 lat (wymawiamy Ana)

PIOTR lat około 50, działacz i powstaniec

2019

I

*Styczniowa odwilż, spokojna noc, ciemno dookoła.
Nagle światło latarki oświetla zbliżającą się postać. Szamotanina.
W głębi sceny stół, krzesła i otwarta szafa z ubraniami,
żelazne łóżko i stojak na kroplówki.
Aktualnie wszystko przykryte maskującym ciemnym materiałem.
Ekspozyty będą odsłaniane lub zasłaniane na potrzeby bieżącej sceny.*

PAWEŁ:

Mocie go?

POWSTANIEC 1:

Spokojnie, spokojnie, już się niy wywinie.

PAWEŁ:

Dawejcie go tu!

POWSTANIEC 2:

Ale to nie łon...

PAWEŁ:

Co ty fanzolisz!

POWSTANIEC 2:

Trzimom za coś miynkiygo... To jest...

ANNA:

Bier te łapska, zbereźniku, co ty sie myślisz!

PAWEŁ:

Do stu pieronow... To porzondne baby ło trzecij nad ranym po polach łożom?
Zaświyćcie ino tukej!

Na scenie półmrok.

POWSTANIEC 1:

To ci dopiyro iberraszong, no, no...

POWSTANIEC 2:

Pewnie z Modrzejowa z targu idziesz i leko pobłondziłaś?

PAWEŁ (*podchodząc do kobiety*):

Coś ty za jedna? Jak sie nazywosz, mosz jakeś papiory?

POWSTANIEC 1:

Co mosz w tyj tasi i w rugzaku?

PAWEŁ:

Co ty, dziełcha, tu robisz? Chyba żeś jest jakoś hekxa? Jeszcze roz sie pytom,
jak sie nazywosz, skond i kaj idziesz?... Do dioska!

Anna milczy.

PAWEŁ:

Godej coś, a wy łobejrzijcie, co łona tam niesie!

Anna nadal milczy.

PAWEŁ:

Jak niy, to niy. Zrobimy sond polowy i byda musioł wykonać wyrok... Szko-
da takij frele. Godej!

Paweł sięga po lichi karabin zawieszony na ramieniu.

ANNA:

Synek, ani sie niy wygupiej. Przeca widza, że ni mosz ani jedenj kulki. Mie
niy nabieresz.

POWSTANIEC 2 (*po przeszukaniu bagażu*):

Melduja, że w rugzaku som łachy, a w tasi bindy, plastry, jakeś pile i flaszecki.

PAWEŁ:

Godej, bo jak niy, to idymy na Roździyń na policjo.

ANNA:

Niy godejcie zy mnom jak z dzieckym. Przeca dobrze wiym, że policjo ino by sie ucieszyła, jakby vos łobejrzała. Niy fulejcie mi takich bojek. Nic vos na tych szkolyniach niy nauczyli? Prowadźcie mie do swoich. Musiałach Brynica przynść i jest zech cało mokro. Nic wom wyncyj pedzieć ni moga. Rozumicie?

POWSTANIEC 1:

No co za frechowne babsko, widzieliście?

PAWEŁ:

Zbiyrejcie się, chopy, idymy. Jo prowadzi... A teraz cisza.

II

Na scenie odsłonięty stół, krzesła i otwarta szafa wypełniona ubraniami. Reszta bez zmian.

Na scenie Piotr w szlafroku, pod którym spodnie i koszula.

Słysząc delikatne umówione pukanie (- - . - -). Do pokoju wchodzi Anna i Paweł.

PAWEŁ:

Łobudzili my vos?

PIOTR:

A kaj tam! Jakoś niy umia łostatnio spać po nocy, ale jak prziszliście na kawa, to dość wczas.

PAWEŁ:

Wachowali my... wiycie kaj, tam przy waserturmie, żeby te gizdy niy narobiły łostudy. A tu zamiast Niymcow wpadła tako polsko przepiorka. Nic niy chce godać, skuli tego my jom tu do vos poprowadziyli bez pola.

PIOTR:

Myśla, że żodyn vos niy widzioł i Grenzschutz za chwila tu niy wlezie.

PAWEŁ:

Dali my pozor. Chopcy na dworze wachujom, czy ftoś sie za nami niy przywłok.

PIOTR (*podchodzi do Anny*):

Zy mnom tyż niy bydziesz godała?

ANNA:

Z wami moga godać, bo was znom.

PIOTR:

A kaj my sie to poznali, frelko, co? Jak do ciebie godajom?

ANNA:

Nazywom sie Anna... Miyszkom na Dombrowce. A wyście byli niyroz na naszych wystympach i zaglondaliście do dochtora Wilamowskiego.

PIOTR:

Ho, ho... chodzonco skarbnica wiedzy. To jo stawiom woda na tyj. Paulek, łostaniesz?

PAWEŁ:

Niy, niy... Puda, bo tam kamraty som na dworze, a rano musza do roboty. Dziynki wom!

PIOTR:

Idź z Bogym i uważejcie, bo już niydugo bydzie sie widniyło.

Paweł wychodzi. Piotr w stronę Anny:

PIOTR:

Ty sie tu ze szranku wybier jakeś suche łachy, boś cało mokro i trzyniesz sie jak galert, a jo prziloża pod blacha i zaroz naparza lipowego tyju. Kawy sie napijymy kedy indzij.

Opuszczają scenę, idąc każdy w innym kierunku. Po chwili pierwszy wchodzi Piotr z filiżankami w dłoniach i kładzie je na stole. Wychodzi jeszcze raz, przynosząc słoik miodu i pieczywo.

Wkrótce wchodzi Anna ubrana w kolorową sukienkę. Siadają do stołu.

PIOTR:

No, niyźle, niyźle... Bier szolka i napij sie ciepłego. Zjydz cosik.

Anna pije herbatę i łapczywie chwytą za chleb.

ANNA:

Dziynkuja wom. Downoch nic niy jadła. Myślałach, że przeleca roz dwa, jak inkszymi razami, a tu mie capli. Bołach sie Grenzschutzu, a chycili mie swoi.

PIOTR:

Godej jedno po drugim... A może jo cie byda pytoł? A ty łodpowiadej, wtedy jakoś mi sie to lepij ułoży. Skond i kaj żeś to szła?

ANNA:

Jada spod Łodzi, łod mojjj mamy. Cugym, a potym na nogach. Poczekałach, aż sie ściymni i przeszlach Brynica w mojjm stałym miejscu.

PIOTR:

Godosz, że to niy piyrszy roz?

ANNA:

Po powstaniach straszyli nos. Wtedy chop kozoł mi jechać do Polski, do mamy, aby przetrzymać jakoś chwila. I tak żech ranżyrowała, roz tu, roz tam. Roz na paszport, to juzaś – jak niy byłach pewno – przez rzeka.

PIOTR:

No a we ftorym miejscu bez rzeka?

ANNA:

Musza pedzieć?

PIOTR:

Dobra... Kedyś sie dużyj pogodomy. A kaj żeś to szła po nocy?

ANNA:

Miyszkom – jak żech już godała – na Dombrowce. Nymcy godajom Eichenau. Miyszkomy z chopym u szwigermuter.

PIOTR:

A jo myślał, że ty chodzisz do grundszone!

ANNA:

Niy błoznucie zy mie. Jo już jest trzeci rok wydano!

PIOTR:

No, godej dalij, dziełcha...

ANNA:

Dali mi znać, że moj Alojz zostoł poturbowany po cimoku, jak szeł z huty. Leży w lazarycie i jest z niym źle. Myśla, że to te niymieckie chachary, co już nom niyroz ubliżali. Musza sie dostać do dochtora Wilimowskiego. Łon mie zno, bo robiyłach w lazarycie, no ale potym musiałach uciekać. Może jakbych tu była, toby do tego niy doszło... Tak mie to tropi.

PIOTR:

Posuchej, ty sie tukej legnij trocha w ciepłym. Jo ida posznupać. Niy wyłaż stond, a jo sie postarom czegoś dowiedzieć. Prziłoż do pieca i nikomu niy łotwiyrej. Zajrza tyż do dochtora. Siedź cicho i czekej. Toż na razie!

Piotr wkłada płaszcz, kapelusz i wychodzi, zamykając drzwi.

III

Na scenie pusto, bez zmian w scenografii. Otwierają się drzwi. Wchodzi Piotr. Anna przykryta kocem podnosi się z łóżka.

PIOTR:

Myśla, że mom dobre wieści. Twój Alojz został wypisany z lazarytu i poszed som do dom. Ty tyż leć, pewnie bydzie rod, jak cie łobejrzy.

ANNA:

Dziynki wom. Łachy wyschły, to moga sie brać. Chwała Bogu, że mu sie nic gorszego niy stało. Byda mogła pojechać do Glywic na Sejmik Towarzystwa Polek... Zostałach jeszcze przed końcym łońskiego roku wybrano na delegata.

PIOTR:

Uważej, dziolcha, na siebie, żeby ci sie nic złego niy przitrefiło... A swojom drogom – kaj cie tyn Alojz znod?

ANNA (*przebiera się za szafą*):

Niy chca wom teraz gowy zawracać pierdołami, ale jak sie jużaś spotkomy, to pogodomy na spokojnie. Wszystko wom wtedy wyklaruja. Na razie „Bog zapłać” i leca.

PIOTR:

Zawsze sie łoglondej, czy ftoś za tobom niy idzie. Mosz piniondze?

ANNA (*wychodząc*):

Mom, nie starejcie sie. Jak przijada z Glywic, to sie pokoża!

To samo pomieszczenie. Przy stole siedzi Piotr. Pukanie do drzwi – wchodzi Paweł.

PAWEŁ:

To jo.

PIOTR:

Siadej i łosprawiej. Przyniesia tyju... *(wstaje od stołu i przynosi dwie filiżanki).*

PAWEŁ:

Poszed żech do moji siostry, ftoro sie chajtnyła za takigo Jorga z Dombrowki, bo jo miyszkom jeszcze z łojcami na Laurahütte. Zaczon żech Hyjdla delikatnie pytać, czy zno tako Anna.

PIOTR:

No i co?

PAWEŁ *(chodząc po izbie)*:

Dombrowka jest mało i tam sie nic niy skryje przed ludźmi. Zaroz mi pe-działa, że Alojz – tyn chop łod Anny – robi kaś na blajowie i mo trocha ponad trzidziestka. W 1918 łożynił sie z takom modom dziołchom, ale niy łod nos, ino kaś z Polski. Ponoć matka mu jom prziwiozła, bo łon to jakiś ciućmok i na zolyty niy chodził. Ta dziołcha miyszkała u nich niycałe poł roku i wziyni z Alojzym cichy ślub. Aha... Alojz ni mo łojca, zabiyło go na Wilhelminie w hucie, akurat wtedy, jak miał iść do komonije. Po śmierci łojca bardzo sie zmiynił, jakoś zmarkotnioł, łaził som po polach, niy bawił sie z inkszymi synkami. Tak mu łoślało. Terozki robi – jak żech wom godoł – w tyj hucie ołowiu na Burowcu.

PIOTR:

No a skuli czego go napadli? Niy wiysz?

PAWEŁ:

Łon nikaj niy chodzi. Z roboty do dom i rano juzaś do roboty. Nikaj go niy widać... Nawet w kościele stoi kaś za filorkym. Ale ta jego Anna to niy usiedzi w doma. Zaroz zapisała sie do Sokoła, potym do chóru Wanda i ino kaś loto. Noleży tyż do Towarzystwa Polek w Dombrowce. Niyftorzi godajom, że ciongło jom tyż ku powstańcom.

PIOTR:

Łona działo, a jego napadli i sprali?

PAWEŁ:

Hyjdla jeszcze godała, że na poczontku to Anny niy bardzo ciyrpieli. Tyla dziolchow naszych wkoło, a Alojzowi sie zachciało gorolki. Ponoć – już po weselu – kryncili sie koło nij chopcy z zespołu i z chóru...

PIOTR:

To może łoni nakopali do dupy Alojzowi, a nie niymieckie gizdy?

PAWEŁ:

Tyż możliwe, bo Alojz tako ciamajda, a z nij gryfno babka.

PIOTR:

Widza, żeś niy ślepy... Ino zważej, żeby ciebie niy nakopali! Dość szpasow! Powiedz no, co tam z plebiscytym. Dyc to już niydugo!

PAWEŁ:

To jo sie wos chcioł spytać... Mie to wyglondo niywesoło. Boja sie, że przegromy, a Nymce sie potym zabierom za tych, co głosowali inaczyj, tak jak wcześnij robili to już z powstańcami. Na Baildonie powyciepowali wtedy z roboty chopow, co ino byli podejrzeni, że trzymajom sztima z Polokami. Na Nikiszu na grubie Giesche tyż było tak samo. Reszta wystraszone siedzi cicho. Każdy chce mieć robota. Coś lichu to widza... No, leca do dom. Uważajcie na siebie.

PIOTR:

Jakbyś coś ważnego wiedziół...

PAWEŁ:

Ja, ja, pewnikym dom znać. Z Bogym!

V

Scenografia jak w scenie I. Ciemno. Trzy osoby siedzą w kucki lub na skrzynkach (kamieniach).

POWSTANIEC 1 (*szeptem*):

Ftoś idzie...

PAWEŁ (*szeptem*):

Chyba Piotr, przecież na niego czekomy...

POWSTANIEC 2:

A jo myśla, że to Nashorn. Tak ino może łazić nosorożec. Hi, hi...

PAWEŁ:

Tu my som, przyświycy leko taszynlampom.

PIOTR:

Widza, zgoście, bo jeszcze ftoś...

PAWEŁ:

Godejcie, co słychać.

POWSTANIEC 1:

To wy sie pogodejcie, a my pudymy sie połazić.

POWSTANIEC 2 (*do Powstańca 1*):

Mosz jakeś cygarety?

POWSTANIEC 1:

Tyś chyba łogup! Wiysz, że Indianery to na prerii iskerka z kilometra widzeli?

Odchodzą.

PIOTR:

U nos, w Katowicach, to my chyba wygrali. Beleby ino niy pocyganili przy rachowaniu. Jak jest kaj indzij, ciynżko pedzieć. Niymiecke cajtongi piszom, że wszyndzie wygrali. Nasi z hotelu Lomnitz tyż nic pewnego niy wiedzom, Opole jeszcze tyż cicho siedzi.

PAWEŁ:

Godom wom, mie sie niy widzi tyn cołki plebiscyt. Niy trza przeca welować, bo każdy gupi wiy, kaj jest wiyncyj Polokow, a kaj Niymcow. Im bardzij ku nom, to wiyncyj naszych, ale im dalij na west, to już bydzie mnij głosow za Polskom. Skond tamci majom znać Polska? A jak znajom, to z niy nojlepszyj strony bez niymiecko propaganda. Myślicie, że bydom za Polskom? Jo niy wierza!

PIOTR:

Nojgorszy tyn środek. Bo może być tak, że jedna gmina bydzie za Niymcym, a drugo za Polskom. Bajzlu sie narobi... A poza tym łoni som bogatsi, umiom przekonać do głosowanio niy ino bez ulotki, kalyndorze, ale bardzij konkretnie.

PAWEŁ:

Aaa... bo mi sie terozki spomniało. Pamiyntocie ta Anna? Spotkołech jom jakeś trzy tydzie tymu, jak roznosiła ulotki na Nikiszu. Ino mi mrugła i poleciała.

PIOTR:

To pewnie jeszcze niy wiysz, że tydziyń tymu jeji chop... tyn Alojz... umar.

PAWEŁ:

Niy godejcie... I co teraz śniom bydzie?

PIOTR:

Pewnie łostanie u szwigermuter... A jake mo wyjście?

PAWEŁ:

Tak godocie? Jo niy jest tego taki pewny.

PIOTR:

Wołej kamratow. Idymy do dom. Na szczyńście jest spokoj. Pamiyntej, dej pozor na zignal... to może być nawet jutro!

PAWEŁ (*szeptem*):

Chopy, bierymy się...

Wszyscy czterej schodzą ze sceny.

VI

Powstańczy szpital. Odslonięte białe metalowe łóżko i stojak z wiszącą kroplówką.

Na scenę wchodzi, rozglądając się, Piotr.

*Za chwilę wchodzi Anna w fartuchu i czepku z czerwonym krzyżem,
jako pielęgniarka.*

ANNA:

Panie Piotrze, panie Piotrze, kogo szukacie?

PIOTR:

A, to ty Anna. Niy, nikogo niy szukom, ino chca łobejrzyć, jak sie majom ci spod Annabergu. Ponoć sporo tych niyborokow przywiyżli.

ANNA:

Już my to jakoś łogarnyli, ale doprowdy było ciyżńko. Na szczyńście żodyn nom niy umar.

PIOTR:

Poza twojym Alojzym...

ANNA:

Już wiycie? Jutro mom wolne, zaniesa mu kwiotki i poślimtom. Tak tyn czas leci!

PIOTR:

To może i do mnie wleziesz na ta kawa, co my jom wtedy niy wypiyli? Może i Paweł wpadnie?

ANNA:

Czymu niy. Dużo mi pomog. Nawet tu do Zweiga prziszed... No, ale musza lecieć!

PIOTR:

Toż do jutra! Zańda jeszcze na kwila do dochtora... Trzimej się, dziółcha!

VII

*Mieszkanie Piotra. Odkryte trzy krzesła, stół i zamknięta szafa.
Na stole dzbanek i filiżanki. Przy stole siedzą Piotr i Paweł.*

PIOTR:

Tak wyglondo, że szczyłanina sie pomału kończy. I chwała Bogu! Dość już tego niyszczynścio.

PAWEŁ:

Terozki niych działajom ci łod polityki, ino niych niy zaprzepaszczom tego, co my wyrzuchowali...

PIOTR:

Byłech wczora w lazarycie. No co to jest w tyj sali u restauratora Zweiga na Bytomskij. Wiysz, kogo żech spotkoł?

PAWEŁ:

Widzieliście sie z Annom?

PIOTR (*kiwa twierdząco głową*):

Jakby mie niy zawołała, tobych jom niy poznoł. Roz, że w tym białym fortuchu... A poza tym zlichła. Godała, żeś tam do niy zaglondoł.

PAWEŁ:

Łod piyrszego momyntu ta dziółcha łazi mi po gowie. Ciyngym jakes niyszczynścia sie jom trzimiom. Wiycie, jakby niy była...

PIOTR:

Tobyś jom z tych niyszczynść wyzwolił... Niyprowdą?

PAWEŁ:

Posuchejcie, czy wiycie, że ta jeji teściowo to jom z domu wyciepła?

PIOTR:

Niy godej, jak to?

PAWEŁ:

Jakeś dwa tydnie po pogrzebie pedziała Annie, że właściwie to łona już niy jest żodno rodzina. I że szkoda, aby tako modo baba miała cołke życie siedzieć na Dombrowce i nojlepiej, jakby pojechała nazod do dom, tam, skond prziszła. Przirychtowała ji pusty kofer...

Wchodzi Anna.

ANNA:

Dobry dziyń... Kogo jo tu widza? Pewnie żeście sie smowiyli? Godajom, że powstanie pomału sie kończy. Wyicie coś?

PIOTR:

Siadej, z mlykym, cukrym?

ANNA:

Jak mocie, to i z tym, i z tym.

PIOTR (*nalewa kawę i siada*):

Może to i w tym trocha prowdy jest. Sama widzisz, że w lazarycie rannych niy przibyo.

ANNA:

Ja, mocie recht. Poru już poszło do dom, a ci cinyżyj ranni som wywożyni do Mysłowic, do prawdziwego szpitala.

PIOTR:

No, a jak sie powstanie skończy i bydzie spokój, to co z tobom? Słyszolech...

ANNA (*spuszcza głowę, po chwili kontynuuje*):

Nic tu po mie. Wszystkie moje role w tym ślonskym tyjatrze sie skończyły... Miało być fajnie, a zagrałam w tragedii. Wszycy sie radujom, a jo? Może sie widzimy już łostatni roz, bez to wom powiym... Wcale niy chciałam tu jechać, ani niy myślałam ło chowie. Szwigermutter... moja prziszło teściowo zjawiła sie u zokonnicy, kaj mie matka dali do takij szkoły dlo dziełchow. Uczyli nos tam roboty w łogrodku, warzynio, jak sie łobchodzić z bajtlami i inkszych – według nich –pożytecznych i bardzo potrzebnych modyj dziełszere rzeczy.

Potym przjechała juzaś. Wtedy przełożono zaprosiła mie do swojego biora. Pomału wyszło, że pani ze Ślonska mo syna, do ftorego szuko baby. Jo sie ji

bardzo spodobała – tak godała przełożonyj – i chciała, abych sie zastanowiyla i czy bych niy przijechała do nich do Eichenau.

Byda mogła go ftedy poznać. Siostry mie namowiały, bo wiedziały, że w klosztorze to zy mie niy bydom miały pociechy. Do dom tyż niy było po co jechać. Pogodałam jeszcze z mamom i zdecydowałam sie na wyjazd. Jak ino skończyłam oziymnoście lot, zaroz zjawiyla sie teściowo. Przijechały my tukej, poznałam Alojza... Trocha inaczyj sie go wyobrażałam, ale był spokojny i ułożony. Aż piytnoście lot starszy... Miyszkałam przy nich w takij ajncli. Jak teściowo wyjyżdżała, to warzyłam Alojzowi i sprzontałam. Strasznie był niyśmiały, ale to był dobry synek. Trzi lata tymu wziyni my ślub.

PAWEŁ:

A teraz co? Już cie szwigermutter niy potrzebuje, już żeś niy jest rodzina?

ANNA (*cicho*):

Pedziała mi, że to przezy mie i moje kamracynie z powstańcami Alojza zabili... I ni może mi tego wyboczyć.

PIOTR:

Starom sie zrozumieć bol matki, ale żeby tak pedzieć... i wyciepnońć, jak psa?

ANNA:

Spotkałam dobro koleżanka z POW (pe-o-wu). Wiedziała, że Alojza pobiyli, ale nic mi wcześnij niy godała. Dopiyro teroz niydowno... Za rynku nikogo niy chciła, ale może to być prawda, że Alojza niy pobiyły niymiecke chachary.

PAWEŁ:

No to fto? Ino łoni som do tego zdolni!

ANNA:

A niby czymu teściowo jeździła po klosztorach i farorzach? Robiyła ponoć geszefty, we ftorych niyświadamie broł udział Alojz.

PIOTR:

Teroz to i jo nic niy kapuja.

ANNA:

Łona handlowała rożańcami, śrybnymi myndalikami i krzyżykami...

PAWEŁ:

No i co z tego?

ANNA:

Alojz robiył w hucie. Tam przy cynku i ołowiu jest w rudzie trocha śrybła. Jakoś tajła tego śrybła była wynoszono...

PIOTR:

Na szaber?

ANNA:

No ja! I chyba poszło ło piniondze...

PAWEŁ:

I bez to sprali Alojza... A łona godo, że bez twoja działalność...

ANNA:

Nie pedziałach ji tego, niy chca... Alojz jako taki ślimok – co to muchy niy skrzywdzi – był poza wszelakom kontrolom. Myśla, że som niy wiedzioł, kaj mu to podciepowali... Ale matka wiedziała.

PIOTR:

Richtig ciekawe, co to sie na tym świecie wyrobio!

ANNA:

Paweł, dziynkuja ci za wszystko. Wiycie, Piotrze, że jo u nich w doma bywała w Siymianowicach, jak żech ni miała kaj spać? Paweł wtedy siedzioł na Dombrowce u siostry. Potym znodłach izba przy lazarycie. Miałach spokoj, ciepło i jedzynie. Żyłach robotom. Oj, alech sie nagodała. Terozki wiycie wszystko, a jo jak to sie skończy, jada do Krakowa, do koleżanki, fto fest nom pomogła. Może niy trza bydzie bez Brynica pod Miłowicami, ino tak ajnfach z Polski do Polski.

PAWEŁ:

Łostow jakiś adres. Może kedyś przijada po ciebie...

ANNA:

Na białym koniu... ha, ha...

Anna zbiera się do wyjścia.

PAWEŁ:

Toż trzimej sie, dziółcha. Dej znać, jako ci sie tam wiedzie. Byda ci mog choć kofer na banhof poniyść?

ANNA (*do Pawła*):

Jo jest baba fest i dom sie rady, ale zawsze to fajnie, jak cie ftoś łodprowadzo i żegno. Dom ci znać. Do widzynie!

PAWEŁ:

Jo jeszcze przirychtowoł... jo chcioł ci dać koperta z brifmarkom. Weź, toż to blank leke. Jakbyś tak... Na grubie żonatym dowajom fajne miyszkania...

ANNA (*odbierając kopertę*):

To jest leke, ale tyś mi pieronowo namotłół w gowie.

PAWEŁ:

Naskryflej, a jo zaroz po ciebie przijada.

PIOTR:

Na tym białym koniu? Ha, ha, ha...

ANNA (*frywolnie*):

A niy tak downo chcioł do mie szczyłać. Coż to za dziwne ludzie te Ślonzoki!

Żegna się z Piotrem, całując go w policzek, i Pawłem, dłużej trzymając jego dłoń.

Wychodzi. Panowie również schodzą ze sceny.

ZE COŁKIGO ŚLŌNSKA

Mateusz Czyba

PERZŌNY:

MAGDA	wele 25 lot
ARTUR	wele 30 lot
MARCIK	wele 40 lot
PAWOŁ	wele 35 lot
ILONA	wele 50 lot
ACHIM	wele 50 lot

Bina podzielono umownie na trzy tajle.

Po prawy i na poszrodku biny kawiarniane stoliki:

*po prawy wiynkszy i ze trzyma stołkami, a poszrodku myńszy, ze dwoma.
Stolik z lewyj tyż ze trzyma stołkami, ino bardzij jak ze szynku niż ze kafyju.*

Nad każdym stolikiym lampa.

SCYNA I

W tym samym momyncie włożom na bina Magda i Artur.

*Ōna z prawy, ōn z lewyj. Ōna trzimie w rynkach tolyrzik ze zistom i kafyj,
ōn szola piwa. Siadajom przy stolikach na szrodkowych stołkach:*

ōna przy stoliku prawym, ōn przy lewym.

Zapolajōm sie lampy nad tymi stolikami.

*UWAGA! Jak jedne godo swoja kwestja, to te drugie je zajynte myślyniym,
konsumpcjom, abo nawet kurzyniym cygaryty na sztrom.*

ARTUR (*mo utropa*):

Jeronów tysiōnce, jo wiedzioł, że coś zmaszcza!... Na zicher... A tako bōła fajno, niy za wyzgerno tako, szczuplutko, ale niy za fest. Tako w som roz. Trefiłech jom we cugu. To bōło we piyrszego października. Jechołech ōd kamrata ze Miasteczka Ślōnskigo do dōm we Bytōmiu. We cugu bōło pouno grzibiorzōw. Hica jak pierōn, bo maszynista włōnczōł ōgrzywanie, bo jesiyn,

niy? Mus to mus. Nale jak te podgrzibki zaczęły jechać...! A te prawoki bōło czuć na cołki cug! Ale to je nic, bo tym grzibiorzom z gumioków tak wałōło, że jo bych sie prawie porziōł. Niy ciyrpia, niy ciyrpia grzibōw...!

MAGDA (*tyż mo utropa*):

Bōłach u ôjców we Rōjcy, bo matka miała gyburstag. Trocha żech posiedzia-
ła, a potyn... potyn my sie powadziyli. Wiadomo ô co... bo sie chopa niy
poradza znolyż, bo wybrzidzom... Durch to samo. Jużech niy umiała tego
suchać i wylazłach. Co byda tego suchać? Ino jedne i te same... Cug sie trocha
spōzniōł, bo bōło mocka grzibiorzōw i ani niy bōło sie kaj siednōnc. Stoja.
Pacza przed sia. Pacza za sia. I widza, co mi sie jedyn prziglōndo. Na ôko mo
tela lot wiera jo. Myśla: taki mōdy grzibiorz? Coś mi niy grało. Dyć to inō
stare chopy łażōm po lesie, mōdych to niy interesuje... Jo downi żech łażyła.
Za dziōlszki. Ze ôjcym my jeżdzyli na Kalyty... na Rusinōwice... Ech... co jo
sie w życiu grzibōw najadła... (*rozmarzono*) Smażonki... zupy... kapusta wilij-
no ze prawokami... jeee... Nale pacza na tego karlusa, a ôn na zicher żodnych
grzibōw niy mo. Jakiś niywydarzōny abo co?...

ARTUR:

Zbiyrom sie i zbiyrom, coby do nij zagodać, bo im żech na nia dużyj paczoł,
tym mie sie tak... bardzij widziała. Tako... rozmarzono, zamyślono, a tyż tro-
cha tako... markotno, bo chyba jom coś szterowało. Ino mie to niy zawodza-
ło... niy... nawet... nawet mie sie to widziało... o, ja... Nale ewidyntnie cosik ij
po gowie łażyło. W końcu zebroł żech sie do kupy i poczōn żech ku nij iś...

MAGDA:

Pacza, a ôn ku mie idzie. A potyn myśla, co można ôn idzie do klopa, bo bōł
wyglōndoł choby zaloz grinszpajnym... Chyba mu tyn maśłokowo-prawo-
kowy luft w cugu zawodzoł! (*śmiych*) Mōg sie przy ôknie stanōnc, podychać
trocha i na zicher by mu przeszło, nale cisnoł ôstro miyndzy tymi koszyka-
mi... I to ku mie!... Abo i niy ku mie... Niy wiedziałach, toch pomyślała, że sie
cofna. I tak żech zrobiōła...

ARTUR:

Ôna sie cofino. Jo myśla, co ôna myśli, co jo chca iś do inkszego... tego...
wagonu, abo jak sie to nazywo w takim cugu... Niyważne. Zrobiōła tako wy-
straszōno afa na gymbie i ôroz cug wysztopowoł...

MAGDA:

Cug stanōł i ôn furgnoł tak, co przeleciōł bez tyn antryj we cugu, abo jak sie
to mianuje, niyważne jak, i prawie sie rziciom siednył jakimuś grzibiorzowi
na koszu... (*śmiych*)

ARTUR:

Na ostatni driker chycił żech sie jakijś rułki, bo bych wylōndował we grzi-
bach! Jo pacza, a ōna sie lacho...

MAGDA (*śmijach*):

To tak hecnie wyglōndało, żech niy szczimała. Zapytałach sie go, eli mu sie
nic niy stało, a ōn, że niy...

ARTUR:

No i tak my zaczli ôsprawiać. Zapytała sie mie, kaj je mōj koszyk ze grzybami,
abo przinojmij eli we kapsi nie mom jakiś szatanōw. Ha, ha, ha...

MAGDA:

Pedzioł mi, co ōn niy je żōdyn grzybiorz, ino jedzie ôd kamrata ze Miastecz-
ka Ślōnskigo... I tukej sie zaczęło...

ARTUR:

Pedziołech ij, że jada ze Miasteczka i niy przepadam za bardzo za grzybami.
A ōna sie mie pyto czymu... No jak czymu? Niy każdy musi lubieć grziby,
pra?...

MAGDA:

Jo mu pedziała, co u mie ôd pokolyn sie jeździło na grziby, jy sie grziby i jo
niy znom nikogo, fto by ich niy ciyrpioł...

ARTUR:

Mie już autyntycznie zaczęła lęba boleć ôd tych grzybów, a ta jeszcze ô nich
fafło i faflo. Już żech sie zaczęōn cieszyć, że niydugo bydzie Bytōm, nale tyn
cug durch stoł...!

MAGDA (*smutno*):

To jo go zeszerowała tymi grzybami. Po jakigo... po jakigo... grziba żech
zaczła ô nich godać?... To jeszcze nic, bo tyn pieroński cug stoł i stoł, a jo
sie go jeszcze spytała, czymu ōn karom niy jedzie. Myślałach, co je mo we
warsztacie...

ARTUR:

Potyn sie zaczęła godka ô autach. Myślała, że skoro jada cugiy, to mom
auto we naprawie. Logiczne, niy?... Kiyj żech je chopym, to musza mieć auto,
niy?... I wtynczos żech ij pedzioł, że ja, że mom kara... we tym samym warsz-
tacie, w kerym je jeji kara!...

MAGDA (*znerwowano*):

Jo sie całkiym spokojnie zapytała, a ōn na mie z pyskiym. Normalnie gizd
diosecki!...

ARTUR:

Pedziała tak: „jo jeżdża cugiy, bo żech je e-ko-lo-giczno”. A co, jo niy moga być ekologiczny? Jo musza mieć kara, pra?! Nojlepij beema abo merca, żodne inksze. Nastympno, co to uwažo, że chop musi mieć chałpa, kara i spłacone kredyty...

MAGDA:

No ja... terozki sie forszteluja, co mioł racjo. Świat sie zmiynio. Kobiyta niy może myśleć, co jak je chop, to musi mieć kara. Dyc może jeździć na kole, na rolerze, bankōm... Może mieć dugo broda i niy zakładać fuzekli do szczewikōw... wszystko może... A jo wyskoczyłach choby jako afa...

ARTUR:

Cug ruszōł, toch sie ij zapytoł, czy czynsto nim jeździ. A ōna, że niy, że bōła ino u matki we Radziōnkowie na gyburstagu. Toch ij pedzioł, że cołkie życie miyszkom we Bytōmiu, ale we tyj dziylnicy jesszech niy był...

MAGDA:

Zapytoł mie, skōnd jada. To mu pedziałach, że ze Radziōnkowa. Na to ōn dupnōł takigo fleka, co jo ō mało sama jakimuś grzibiorzowi sie na koszyk siadła... Ōn myśłoł, co Radziōnkōw to je dalij dziylnica Bytōmia!... Kaj sie taki uchowoł?! Dyc to już tela lot je samodzielno gmina we powiecie tarnogórskim, a tyn mi tu takie gupoty epi!...

ARTUR (znerwowany):

Jak ta na mie wyskoczōła! Ōd niyuków mie sprzezywała! Na koniec mi pedziała, że co niy mōm w łebie, to mōm w nogach i można żech tyż je ekologiczny, ale ze przimusu...

MAGDA:

Cug stanōł we Bytōmiu, a ōn wyskoczōł jak ôparzony. Jak mie ulzōło. Musiałach być już cołkiym czerwōnô po gymbie z tych nerwōw...

ARTUR:

Na szczynście cug sie zatrziomoł we Bytōmiu i mōgzech wylyż. Aż mie sie ryncne trzynśły. Dalij bych tyj godki niy zniôs, a takij jazdy żech jesscze w życiu niy mioł.

SCYNA II

Z lewyj strony włazi Pawoł.

PAWOŁ:

Arturo, a ty co sam tak samymu siedzisz? Cześ!

ARTUR (*stowo niymrawo*):

Cześ, Pawoł. Siadej, jak żeś już przilōz. (*witajōm sie*)

PAWOŁ:

Fajnieś mie powitoł, niy ma co.

ARTUR:

A bo mom pierońsko utropa, wiysz?

PAWOŁ:

Cołki ty. Wiecznie ci coś po łebie łazi. (zrywo sie) Kule, dyc jo ô suchym pysku z tobōm godać niy byda. Zaroz przida. (*wyłazi*)

SCYNA III

Z prawyj włożōm Marcik i Ilona ze kieliszkami i flachōm wina.

Artur popijo biyr, wyciongo gracoka, ôglondo, ôdkłodo...

MARCIK:

Madzia, sam żeś je! (*do Ilony*): Nasza Madzia sie nowo frizura dała zlonaczyć!

ILONA:

Bez toch ij niy poznała.

MAGDA:

Dzisiej bōłach u golaca. Siadejcie. Widza, co niy lubicie czekać na kelnera.

Marcik i Ilona siadajōm.

ILONA:

Jo wybiyrōm wina wedug flaszek. Jak już mi sie kero spodōbo, to wiym, że driny je mocka dobrego i bez to musza pokozac palcym, kero chcą. (*śmionych*)

MAGDA:

No ja. Jak bych cie niy znała.

MARCIK:

To niy ma takie gupie. Jo, jak kupuja parfiny, to pacza, jaki fajny je flakonik.
A jak flakonik je fajny, to musowo fajnie wõnio.

MAGDA:

I nigdy niy próbujesz?

MARCIK:

A po co?

ILONA:

Kobiytki, pijmy!

Ilona biere flacha wina i nalywo do kieliszkõw.

MARCIK (*podnosi kieliszek*):

Nasze zdrowie, kobiytki!

Klupiõm sie kieliszkami i pijõm.

ILONA:

A jo wom coõ musza pedzieć...

*Õd tego momyntu do scyny piontyj trwo luźno,
cicho godka miyndzy kobiytami.*

SCYNA IV

*Włazi Pawoł z dwõma szolami biyru.
Jedna stawio przed Arturym i siado.*

PAWOŁ:

I co tam? Godej.

ARTUR:

A co ci mom godać?

PAWOŁ:

Dyć widza, że ciebie coõ na wõntrobie leży.

ARTUR:

Dobra, to powiydz mi, co ty wiysz ô Radziõnkowie?

PAWOŁ:

To żeś wyszczelił, niy powiym, ale dobra... Radziōnkōw...

ARTUR:

Bōłżeś tam?

PAWOŁ:

Ja, bōlech przejazdym. Jak zech prawko robiōł, toch jeździōł po Radziōnkowie z egzaminatorym.

ARTUR:

Ale co ty ô nim wiysz?

PAWOŁ:

Co wiym... Nic niy wiym! Niby to jeszcze Bytōm, ale tak po prowadzie to mie tam jeszcze niy widzieli. Chyba że w tyj „elce”.

ARTUR:

O...! Pedziołeś, że Bytōm, a psinco prowad!

PAWOŁ:

Ja? To mie ôświyc.

ARTUR:

To je samodzielno gmina miejsko. I to już ôd piyrszego stycznia tysiōnc dziywyńcset dziywyndziesiōntego ôsmego roku. Na dobitka we powiecie tornogōrskim.

PAWOŁ:

Ło ciup!... To kupa czasu już. Piyknie ci dziynkuja, żeś mie to pedzioł. Jak już to wiym, to można sztartna do jakigoś tyleturnieja, co? Szlukna na ta ôkazyjo... (*chce sie napić biyru*)

ARTUR (*powszczimuje go*):

Niy! To niy ma dobro ôkazyjo...

PAWOŁ (*po namyśle*):

Coś czuja, co ty mie mosz cosik wiyncyj do ôpedzynio, ale zmuszać cie niy byda. No dyc! Pokazywolech ci, jakie mōj bajtel mo już zōmbki?

*Wyciōngo gracok i pokazuje Arturowi.
Cicho ôsprowka miyndzy niymi trwo do scyny szóstyj.*

SCYNA V

MARCIK:

Madzia, wiysz... tak pacza na ta twoja nowo frizura i myśła, a nawet wiym, że tyś sie jōm lajstła na pocieszynie.

MAGDA:

Marcik, ty mie znosz na wylot.

ILONA:

To godej. My muszimy wszystko wiedzieć.

MAGDA:

Spotkałach takigo jednego...

MARCIK (*robi znak krzyża*):

Ponboczku, nareszcie!

ILONA (*biere kieliszek*):

Pijmy!

MAGDA:

Niy!

MARCIK I ILONA:

Niy?!

MAGDA (*niyśmiało*):

Już my sie zdōnżyli pohatrusić.

MARCIK:

Gibkoś, niy powiym. Wiela żeście sie znali?

ILONA:

Tydzinyń, szczylōm, że tydzień.

MAGDA (*cicho*):

Pora minut...

ILONA:

Ijeee!

MAGDA:

We cugu...

MARCIK:

Ijeee!!! Ale... jak we cugu?

ILONA:

We klouzecie?

MAGDA:

A kaj tam!

MARCIK:

Jo już myślała.

ILONA:

Jo tyż! (*śmiej*)

MAGDA:

Wyście som niy możliwe, jo wom już nic niy powiym.

ILONA:

I co sie gorszysz?

MARCIK (*na stronie*):

Po dziysynciu minutach już do sia chopa zraziyla. (*do Ilony*): Abo ôn do nij.

MAGDA:

Ino, że jo miałał ważne powody!

ILONA:

A jakie to mōgły być „ważne powody”?

MAGDA (*Marcik powszczimuje Magda od odpowiedzi*):

Po tak krōtkim czasie niy ma ważnych powodōw. Mie sie z mojim chopym już nazbiyrało tela tych powodōw, aże musiałabych do zadku łązić. A tyż my sie poznali przypadkiym. We aptyce. Boł łobleczony w arbeitancug i prziszōł po flostry...

Marcik godo dalij, ino tego już wyraźnie niy słyhać.

SCYNA VI

PAWOŁ:

Jo sam sztyjc faflom i faflom, ale widza, co ty chyba durch o tym Radziōnkowie myślisz i powiym ci jeszcze, że mom taki gyfil, aże tyn cołki Radziōnkōw to je sprawa drugorzyndno. Mom recht?

ARTUR (*po dłuższyj pauzie*):

No... mosz.

PAWOŁ (*tyż po pauzie*):

To jak, fajno je z gymby?

ARTUR (*ôżywiony*):

Jeszcze jak! Ale nojgorsze je to, że jo ij już chyba wiyncyj niy trefia, bo to boło we cugu, rozumisz? Pogodalimy trocha i zarozki my sie powadziyli. I to o same dupsy: a to o grziby, a to o kary, a na końcu zech wyloz na takigo, co

musioł ledwo szula skończyć, bo jak idzie niy wiedzieć, co tyn Radziōnkōw to je epne miasto, a niy jakoś tam dziylnica?

PAWOŁ:

Dobra, dobra... Chopie, wciepnij na luz! Widza, żeś sie zakrynciył na amyn.

ARTUR:

No dyc! Normalnie mój typ, dziysiyńc na dziysiyńc. Takij frelki już niy znoj-da bele kaj. Wszystko miała, co trzeba i wiela trzeba. Jak som byś jom zoboczył, tobyś mi prziznoł racjo.

PAWOŁ:

Możno mosz i recht, ale co z tego? Jak chcesz ij szukać, to kaj jom znojdziesz?

ARTUR (*po pauzie*):

Wiyam! Ōna mi pedziała, że jedzie ôd matki z gyburstagu.

PAWOŁ:

I co?

ARTUR:

Na bezrok byda tam czekać... Na tyn cug.

PAWOŁ (*śmiyh*):

Jo niy moga, tyś je hecny. Bydziesz na nia cichtować i dosz ij kwiotki na wasza rocznica! (*fest śmiyh*)

ARTUR:

A mosz jakiś inkszy pomysł?

PAWOŁ:

Za-pom-nij! Normalnie – za-pom-nij! Zobocz sie choby sam dookoła. (*pokazuje*) Jakbyś ino chcioł, tobyś mog kero zlonaczyć i do chałpy przikludzić.

SCYNA VII

Włazi Achim, oczywiście ze biyrym w rynce.

ACHIM:

Przeboczcie, karlusy, ale trocha zech ta wasza ôsprowka słysoł. Niy godom, żebych chcioł, ale siedza som przy piwie i niy mom co robić, to suchom. (*do Artura*): Myśla, synek, że wiyam, jak twój problym rozwionzać. Moga sie dosiednonć? Achim. (*wito sie ze Arturym i Pawłym*)

PAWOŁ:

To je Artur, a jo Pawoł. Niyh pan...

ACHIM:

Ino Achim.

PAWOŁ:

Dobra, Achim, siadej i godej, bo jakżeś już słyszoł, ze Arturym je pierōnym źle.

ACHIM (*siado i do Artura*):

Zapytom ôd razu: korzysłożeś kiedy można ze aplikacyji zolytnyj?

PAWOŁ (*śmiych*):

Oj, Achim, przowalōłeś z rubyj ruły! Artur i aplikacyje zolytne... (*śmiych fest*)

ARTUR:

Zaroz, zaroz! (*do Pawła*): Za kogo ty mie mosz? Uważosz, co jo sie na graco-ku niy znom?

PAWOŁ:

Niy ô to sie rozchodzi, ino jo wiy, żeś ty je za dupowaty na takie rzeczy.

ARTUR (*znerwowany*):

Dupowaty! Jo ci zarozki udowodnia! (*biere gracoka*) Zoboczysz, Achim mi powiy co i jak i byda mioł dziynnie... Suchosz mie?... Dziynnie jedne zolyty. Abo i dwa razy dziynnie, (*do Achima*): Niy, Achim? To godej, co wiysh.

PAWOŁ:

Powiydz lepij, wiałaś już tego biyru wypioł.

ARTUR:

Cicho siedź, terozki Achim godo. (*do Achima*): Dowosz.

ACHIM:

I to mie sie, synek, widzi.

*Achim tyż wyciongo gracoka i zaczyno eklerować Arturowi,
o co mu sie rozchodzi, a we tym czasie:*

SCYNA VIII

*We tyj scynie chopōw niy słychać wyraźnie, ale pod ij koniec Pawoł wstowo
i podłazi do Achima, ażeby lepij widzieć, co Achim pokazuje Arturowi.*

MARCIK:

N i tak to bōło.

ILONA:

Piykno historia, Marcik. (*do Magdy*): Widzisz, jak to bywo? To je nōrmalne, jak sie baba ze chopym powadzi, ale, jak to padajom, czasym trza iść na kom-prōmis, a niy ino na krziwe pyski.

MARCIK:

A juź na zicher niy na samym poczōntku, ażeby do sia chopa niy zrazić...

ILONA:

No ja... Pomyśłoł, żeś je za frechowno i bōł cołkijm szczyńskiwy, że juź mōg z tego cuga wyłyż.

MARCIK:

I to je twoja wina. Można ci sie znoloz ksiōnże na białym koniu, a ty żeś tego konia kopła w rzić!

*Marcik i Ilona wpodajom we śmiych, a Magda wypijo kieliszek do końca.
Ilona ij zaroz dolywo.*

MAGDA (*zrozpaczono*):

To co jo mom robić?! Szukać go? Jak?!

ILONA:

Z nim juź dej sie pokōj, bo go niy znojdziesz. Sam je aglomeracyjo, i to dup-no. Kupa naroda i kupa chopa.

MARCIK:

Jeszcze je dło ciebie nadzieja, ino ty sie musisz ôpamiyntać.

ILONA:

Niy musisz sie zaroz mōndro robić, bo chopy tego niy lubiom.

MARCIK:

Prowda... A chop niy musi zarozki ô cia wszystkiego wiedzieć.

ILONA:

No dyc!

MAGDA I MARCIK:

Co?!

ILONA:

ZOLYTNIK! (*szuko gracoka we taśce*)

MAGDA:

A co to zaś...

ILONA:

Że tyż jo o tym wcześnij niy pomyślała. (*wyciōngo gracoka ze taški*) To je tako aplikacyjjo, dziynki keryj możesz jakigoś chopka znolyż.

MARCIK:

Padosz? Pokoż ino.

MAGDA:

Dyć ty mosz chopa.

ILONA:

I co z tego? Dziołcha, ty sie jeszcze musisz dużo nauczyć. (*klupie po gracoku i pokazuje go Magdzie*) Zobocz, to je mój profil: zdjęćcie, jak sie mianuja...

MAGDA (*czyto*):

LONKA_40... Czymu czterdziści?

ILONA (*urazono*):

A na wiela jo ci wyglondom?!

MAGDA:

No dobra, godej, co dalij?

*Ilona ekleruje Magdzie, jak wcześnij Achim Arturowi,
zresztom te godki terozki sie zazymbiajom, co wyglondo tak:*

SCYNA IX

ACHIM (*sztyjc do Artura*):

A zobocz sie, synek, wiela ich je...

ILONA:

Nojlepsze je to, co styknie, jak ino podosz we tyj aplikacyji, kaj żeś je i ôna ci znojdzie szaca blank niydaleko. Przikładowo terazki: siedzimy sie na kafyju we Batorym i... (*pokazuje; Marcik tyż przilazi i ôglondo*) zobocz... znojdzie chopōw ze Chorzowa... Jak ci sie kery uwidzi, to w niego klupiesz i czekosz, aż on w ciebie klupnie i potyn możecie sie ugodać na zolyty, rozumisz? (*ôglondajom dalij*) O, tyn niy wyglondo tak źle...

PAWOŁ:

Jeronie, ale ta mo dugie szłapy...

MARCIK:

A zoboczcie tego...

ACHIM:

A ta, jakie mo gryfnie kudły blajchnione...

ILONA:

A paczcie, jakie tyn mo muskle. I miyszko niydaleko!...

PAWOŁ:

Ciup te same lachy... Ta moja tyż sie jeszcze trzymie, ale...

MARCIK:

Nic, ino brać. Jak sie tak ich porōwnom ze tym mojim...

ACHIM:

Ach, stykłoby te dziysiyńć lot mynij...

ILONA:

A tego bych normalnie zeżarła...

PAWOŁ:

A ta, jakie mo fajne... oczy...

MARCIK:

Tego bych ze pryka niy wypuściyla... (*śmijch*)

MAGDA I PAWOŁ (*wkurzone wstawajom*):

Doś tego!

ACHIM:

Ale dyć my ino zdjynćia ôglondomy, nic sie niy dzieje...

MARCIK:

Ale z ciebie cnotka... (*wraco na miejsce*)

PAWOŁ (*wraco na miejsce*):

Cołki Artur! Nic do niego niy przegodo!

ILONA:

We tyj sytuacji widza ino jedne rozwiōnzanie: klosztor!

ACHIM:

Widza, karlusie, że ty sie ino do klosztoru nadowosz.

ARTUR (*siado*):

Co to, to niy!

MAGDA (*zatkano, siado*):

W życiu!

MARCIK:

To my ci już niy pomagymy...

ARTUR (*wyciongo gracoka, nerwowo klupie*):

Do żodnego klosztoru niy pōjda. Roz sie żyje.

MAGDA:

Niyh wom bydzie, załōża te konto. (*wyciongo gracoka i klupie*)

ACHIM:

I tak trzimej. Jak żech ci już pedzioł: nick, zdjynćie, wiela mierzisz, kaj miyszkosz (*Artur zaczyno manipulować przy gracoku*)

ILONA:

Nojpiyrw nick.

MAGDA:

MAGDA_25. Może być?

MARCIK:

Jakie Magda!? Jakie dwajścia piyńć?! Jezderkusie...

ILONA:

Lepij bydzie MADZIULA_18.

MAGDA:

Ale jo niy wyglondom na ôziymności.

ILONA:

A kogo to obchodzi? Zresztom, niy godej gupot, bo wyglondosz richtig na dwajścia.

PAWOŁ:

I coś wymyślił?

ARTUR:

ARTEK_29. Może być?

ACHIM:

Zmijń na dwajścia piyńć.

ARTUR:

Ale...

ACHIM:

Prosza cie...

ARTUR:

No dobra. ARTEK_25. Może być?

ACHIM I PAWOŁ:

Ja.

ILONA:

Terozki zdjynćie. Zdjynćie musi być takie, żeby pokazywało to, co mosz nojlepszego.

MAGDA:

Czyli co?

MARCIK (*do Ilony*):

Dziołcha sie niy mo czego wstydzic, a za duzo i tak niy pokoze. (*do Magdy*):
Zrobiymy ci normalne zdjynćie. Gowa i wiyrch.

Magda sie rychtuje, poprawio friz itp.

W tym czasie:

PAWOŁ:

Zdjynćie sie musisz som machnōńć. Niyh frele myślōm, co przinojmnij tela poradzisz zrobic.

ARTUR:

Samo... jebka?

ACHIM:

Ja. Jakby my ci je zrobili, toby wyglōndało, jakby jakoś inkszo frela ci je robiōła.

PAWOŁ:

A tak wyglōndosz na samotnego wilka.

Artur sie rychtuje do zdjynćia.

MAGDA:

Dobra. Może być?

ILONA:

Jeszcze zrób dzióbek.

MAGDA:

Co to, to niy!

MARCIK:

Musisz! Bydziesz wyglōndała na gupszo niż żeś je.

MAGDA:

I to je niby fajnie, tak?

ILONA:

No dyc! Rób tego dzióba i sie niy wygupiej.

*Ilona biere gracoka od Magdy i sie rychtuje, ażeby zrobić ij zdjyńcie.
Magda robi dzióbek nojlepiej, jak poradzi, a Artur ustawio sie do samojebki.*

MARCIK I PAWOŁ (ôdliczajōm):

Trzi... dwa... roz...

Cyk. Zdjyńcia zrobione.

ILONA:

I po krziku. (ôglondo zdjyńcie)

ARTUR:

To je piyrso i ostatnio samojebka, jako zech sie zrobiół.

PAWOŁ:

Ważne, że sie udała, pokoż. (ôglondo zdjyńcie w gracoku) Elegancko! (dowo go Achimowi)

MAGDA (do Ilony):

Dowej, musza zoboczyć (ôglondo swoje zdjyńcie)

ACHIM (ôglondo):

No, synek... Bydziesz mioł branie, że hej!

MAGDA:

Niy ma tak źle.

MARCIK:

Niy ma źle? (*zagłondo Magdzie przez ramie*) Dziołcha, ty żeś je szykowno jak nic!

Magda durch ôglondo swoje zdjyńcie, krynci gracokiym na wszystkie modele.

PAWOŁ:

Terozki jeszcze ino napisz, że mosz meter ôziymdziesiont i styknie.

ARTUR:

Ale jo niy mom tela...

ACHIM (*klepie Artura po ramiyniu*):

To je nojmynij ważne, dyć ze colsztokiym na zolyty niy przidzie, pra?

PAWOŁ:

Zrobiymy tak: posiedź sie sam jeszcze pora minut, dopij biyr i zoboczysz – poł Bytomia bydzie twoje jeszcze dzisioj. (*śmiych*)

ACHIM (*zbiyro sie fōrt*):

A jo sie już ewakuuja. Cześć!

PAWOŁ (*do Achima*):

Poczekej. (*do Artura*): Tyż wyłaża, bo moja zaś bydzie... Wiysz, jak je... No ja, niy wiysz... Niyważne... Nara...

Achim i Pawoł wyłażom.

SCYNA X

MAGDA (*dalij ze wōntpliwościami*):

No niy wiym...

ILONA:

Co zaś?

MAGDA:

Wygłondom jak niy jo...

MARCIK:

Ale toś je ty! Ino ze dzióbkiym...

ILONA:

Niy wydziwiej. Zoboczysz, co jeszcze dzisioj trefisz jakigoś karlusa. (*dopijo wino*) Jeszcze ci tego niy pedziała, ale jo już ze ZOLYTNIKA korzystom dwa roki i zobocz sie na mie... Wyglondom jakby mi boło źle? (*śmionych*)

MARCIK:

Jak za moich czasów bōłyby takie aplikacje (*dopijo wino*), toby sie dzioło, a dzioło. (*śmionych*)

ILONA:

Pa, Magduś, posiedź se sam jeszcze, a potyn kuknij do gracoka i zoboczysz: we nocy niy bydziesz spała dzisioj sama...

MARCIK:

Jutro we robocie nom opowiesz. Pa!

ILONA:

Koniecznie!

MAGDA (*odkłada gracoka*):

No pa.

Śmiony-chichy i Marcik ze Ilonom wylażom.

SCYNA XI

MAGDA (*zaś niymrawo*):

Żeby mi jeszcze pedzioł, jak mu je...

ARTUR (*prześlondło gracoka bez entuzjazmu*):

Ta je nawet gryfno...

MAGDA:

Ale nawet tego niy wiy...

ARTUR:

Miyszko blisko...

MAGDA:

Niby boł ze Bytomio...

ARTUR:

Ino ta tapeta na gymbie...

MAGDA:

A można mo kōnto we ZOLYTNIKU?

ARTUR (*odkłada gracoka*):

Po co jo sie doł w to wciongnonć?

MAGDA (*biere gracoka*):

Można poszukać w Bytōm? (*zaczyna sznupać*)

ARTUR:

Zowdy mogą skasować konto... No bo co ja z tego byda miał?... Nagroda pocieszynio?... A ona mi nie poradzi z gowy wyłyż... Te fajne kudły, tyś gryfny uśmiech... Nie wiem, jak się mianuje – to jedno, ale nawet nie wiem, jak wyłaziła z tego cuga... Mogła wyłyż w Chorzowie... w Batorym... w Żołynzu... i w Katowicach. Dyle to je pół Śląska!... (*pije biyr*)

Pauza.

MAGDA (*ôglondo intynsywnie*):

Jeronie!... Dyle to je on!... Abo i nie... ARTEK_25? Dwajścia piyńć lot? Nie... on był starszy... Abo Artek... Artur... Nawet koszula je ta sama... Ale co, sztyjć w tyj samyż koszułi łązi? Na zicher mo jakieś inksze... Nie, no to musi być on! (*paczy jeszcze trocha*) A co mie tam... (*klupie*)

Gracok Artura sie odzywo.

ARTUR:

A to co zaś? (*biere go do rynki, czyto*): MADZIULA_20. Jasne, dwajścia... A można... Frizura nawet fajno, ino nie ta... A tyś pieroński dzióbek... Co one wszystkie mająm ze tymi dzióbkami?!... To nawet do niej nie pasuje... Kurde... ino te oczy... cołkiym podobne...

MAGDA:

No... klikej, klupej... Abo nie, nie klupej! Jak to żeś nie je ty, to nie klupej, prosza cie!

ARTUR:

Te oczy są blank podobne... Ze Katowic je...

MAGDA:

Widza, żeś je on-line. Godej coś, pisz coś... Abo nie!

ARTUR:

A tam, roz kozie śmierć!

Artur klupie w gracoka, tyś sie odzywo u Magdy. Zaciymniynie.

SCYNA XII

Po dłuższyj pauzie zapolo sie lampa nad poszrodkowym stolikiym. Przy stoliku siedzi Artur nad kieliszkiym wina. Szaket wisi na stołku. Powolno muzyka.

ARTUR:

Niy przidzie... Na zicher niy przidzie... Co jo sie myśłoł... Ino z drugij zajty... to ôna mie znodła... Szukała i znodła... Abo... abo to bôł przypadek, że mie znodła i na mie klupła, a szukała jakigoś inkszego...? Na zicher tak bôło, niy inakszyj... Ale zaś z czecij zajty, to dała sie zaprosić... Klupła piyrso, to można niy ma na mie wkurzono o tyn Radziōnkōw... Można ij przeszło... Ino z czwartyj zajty, to mōgła mie z kimś pomylić... Ze jakimś inkszym Arturym? Mało to takich jak jo po świecie tyro? Czym jo sie wyróżniom? Niczym. Gymba pospolito, słabe zymby... Mój ôjciec i oupa po Abrahamie już ino pora zymbōw mieli. I meter ôziymdziesiōnt tyż niy mom... Jak mie zoboczy, to powiy, żech je cygon, i bydzie miała racjo. A nojgorsze je to, co to może niy być wcale ôna! Frizura inkszo i tyn... gupi dzióbek... Ta ze cugu niy wyglōndała na tako, co robi dzióbki do gracoka i chwoli sie nim chopōm. Co z tego, że ôczy takie same, jak reszta niy pasi?... I tyn cołki Chorzow... „Możno by my sie trefiyli na neutralnym gruncie, bo jo je ze Katowic, a ty ze Bytomia. Tak bydzie lepij, niy?”. No i żech sie zgodziōł... Czymu niy? I terozki czekej... aż łaskawie przidzie... Abo i niy... Ech... jo tego niy szczimia...!

SCYNA XIII

*Włazi pomału Magda – gryfnie ôbleczono, we tyj samyj frizurze co we cugu.
W rynce kielon wina.*

MAGDA (*niyśmiało*):

Cześ, Artur.

ARTUR (*zrywo sie*):

Cześ, Magda (*podłazi do nij i dowajom sie po kusiku we liczka*). To... to siednymy sie, niy?

MAGDA:

No... chyba ja...

Magda seiblyko, co tam mo na wiyrchu, i wiysz na stolku. Siadajōm.

ARTUR:

Mosz... mosz ta sama friza co we cugu.

MAGDA (*śmieje sie z leksza*):

Ta mie sie bardzij podobo.

ARTUR:

To czamu żeś zmiyniōła?

MAGDA:

Bo jo już tak mom, co jak mie coś znerwuje, to ida do golaca, dowom sie inakszyj kudły poukłodać i mi zaroz nerwy przełażom.

ARTUR:

Dobro metoda. A co cie znerwowało?

MAGDA:

Muszymy ô tym godać?

ARTUR:

Niy, wcale niy muszymy.

MAGDA:

To fajnie, ciesza sie...

Pauza. Pijōm.

ARTUR:

Musza ci pedzieć, żeś mie fest zaskoczōła.

MAGDA:

Czym?

ARTUR:

No... znodłaś mie. Musiałaś mie szukać.

MAGDA:

A tyś mie niy szukoł?

ARTUR:

Chciolech, ino... we tyj aplikacyji je tela dziołchów... ze cołkigo Ślōnska... Niy boło lekko. I te twoje zdjyńcie...

MAGDA:

A co z nim?

ARTUR:

Ta frizura, tyn dzióbek... Niy, żeby mie sie niy podoboł, ino...

MAGDA (*śmijch*):

Nigdy żech zawczasu dzióbka niy robiła i już niy zrobia. Tyn dzióbek to tako Ilona wymyślała.

ARTUR:

Jako Ilona?

MAGDA:

Niyważne.

Pauza. Pijōm.

ARTUR:

A wiysz, jo sie pytoł poru kamratōw ô tyn Radziōnkōw i żodyn niy wiedzioł o tym, jako to je terozki samodzielno jednostka samorzondowo.

MAGDA (*śmijch*):

Skończ!

ARTUR:

Ale to je prawda!... No dobra, skończyłech. Widza, co już niy mosz na mie o to nerwów.

MAGDA:

Szkoda mi piniyndzy na golaca.

Śmijch. Pijōm.

ARTUR:

A wiysz, że jo sie zrobiōł wczoraj smažonka ze grzibami?

MAGDA:

Ja? A ze jakimí?

ARTUR:

Szmpiniokami.

MAGDA:

Na poczōntek mogom być.

ARTUR:

Jak sie rozkrynca, to można i prawoka zjym.

Śmijch.

MAGDA:

A mogą się Ciebie o coś spytać?

ARTUR:

No dęć!

MAGDA:

Jak dęgo moesz ta aplikacyjo?

ARTUR (*paczy na zygorek*):

Dokładnie jedyn dziyń.

MAGDA:

To tela wiela jo.

ARTUR:

No zobocz...

MAGDA:

Ciekawe...

Ôroz ôdzywo się gracok Magdy.

MAGDA:

Moga?

ARTUR:

Jasne.

Magda filuje do gracoka.

MAGDA (*czyto*):

Jakiś ROMANEK_XXX na mie klupnoł.

ARTUR:

No zobocz, jakie moesz branie. Za to u mie nic... (*ôdzywo się gracok Artura*)

O! czekej... (*zaglondo do gracoka, czyto*): MARCIK_30 na mie klupła.

MAGDA (*popijajōnc wino*):

Pokoż.

*Artur pokazuje gracoka Magdzie, ta sie ôroz zaczyno krztusić.
Zaczyno jôm klupać w plecy.*

ARTUR:

Jezderkusie! Co sie stało?!

MAGDA (*kuco*):

Nic, już mi je lepij.

ARTUR:

Ale żeś mie wystraszyła.

MAGDA:

Te wino je fest mocne.

ARTUR:

Tyż prawda.

Duższo pauza.

MAGDA:

To jak, ôdkłupniesz tyj Marcik?

ARTUR:

Zrobia coś inkszego. Wywala tego cołkigo ZOLYTNIKA weg ze gracoka.
(*klupie we gracoku*) I niy ma. A co ty zrobisz ze Romankiym iks, iks, iks?

MAGDA (*klupionc we gracoku*):

Romanek... bydzie sie musioł... znolyż dzisioj... inkszo ôfiara. (*pokazuje gracoka Arturowi*): Prôzne.

Pauza. Pijôm.

ARTUR:

Tak sie myślą, co wywalynie tego ZOLYTNIKA to bôła przełomowo decyzjo, jak uważosz?

MAGDA:

Mosz recht. Mogomy zrobić jeszcze jedna przełomowo decyzjo i zaroz stond wylyż.

ARTUR:

Padosz?

MAGDA:

Padom.

ARTUR:

Jo je za.

MAGDA:

Jo tyż.

Zbiyrajom sie i oblykajom. Idom do wyjćcio.

MAGDA:

Bytõm abo Katowice?

ARTUR:

A można zoboczymy, kery cug przijedzie pryndzyj...

Wyłażom. Zacyymniynie. Kurtyna.

Bożena Donnerstag

OSOBY:

OMA	staro Frisztacko (lot 70+)
WERA	wnuczka (lot 30)
ALOJZ	somsiod z dołu (lot 70+)
WITULINO	somsiadka z piyrszego sztoku (lot 50)

SCYNA I

*Izba w familoku. Staro Frisztacko pije z szolki.
Słychać klupanie. Frisztacko wstowo.*

FRISZTACKO:

Kto tam tak klupie? Już leca!!!

WERA (*za drzwiami*):

To jo, oma, otwiyrejcie, ale gibko!

FRISZTACKO:

Właż, dziółcha! Zimno, pra? Zarozki ci zrobia bonkawy, jak lubisz, i krepie świyże mom, to sie zjysz. Tyś je tako chudo!

Wera włazi rań, baby sie ściskajom.

WERA:

No to zech jakoś dojechała! Juzech myślała, że nikaj niy stana, tela aut wszyn-dzie, parkplace pełne, ale zech sie wcisła.

FRISZTACKO:

Toż siadej, dziółcha, i łosprowiej, jak tam w robocie. Godałaś, że musisz mi cosik ważnego pedzieć, siedza choby na szpyndlikach! Ino niy prow mi, że cie zwolnili!

WERA (*siado za stołym*):

Niy, oma! Niy godejcie gupot. Niy zwolnili, a nawet sztajfla żech w gora! Terozki jeżech dyrechtorka, i to żech wom chciała pedzieć.

FRISZTACKO:

Ponbocku! Tako wiadomość! To jo jeszcze ajerkoniaku ci naleja! Moja wnuczka tako zmyślno... Po mie przeca!

WERA:

Oma, przestońcie, przeca niy moga pić! Auto! Ale jo mom dlo vos gyszynk skuli tego awansu.

FRISZTACKO:

Dlo mie gyszynk? Przeca toś ty je dyrechtorka, a niy jo!

WERA:

Ja, jo wiym. Jest ino jedne ale... Jo terozki byda jeżdżioła na delegacyje i mom gyszynk, kiery sie przido, żebyś sie niy czuła sama.

Wera wyciongo z epy piyknie zapakowany gyszynk i dowo omie.

WERA: To dlo vos, moja nojukochańszo omko!

Frisztacko łodpakowuje gyszynk, wyciongo z pudełka.

FRISZTACKO:

Jaki piykny szklanny tablet, elegancko! Nigdy żech takigo niy widziała. Trocha mały, ale na szolka i talyrz styknie...

WERA:

Oma! Przeca to niy je tablet na szolki! Ino to je tablet, taki komputer!

FRISZTACKO:

Werka, co ty mi sam prawisz, jo wiym, jak wyglondo komputer, bo widziałam u Wituliny w doma i u ciebie tyż. A to tukej to je szklanno deska!

WERA:

Oma! To je taki płaski komputer. Zobocz ino.

Wera załonczo tablet.

FRISZTACKO:

Jezderkusie, richtig! Takiygo cuda to żech niy widziała, jako dugo żyja! I co jo z tym mom terozki robić?

WERA:

Jo ci, oma, zaro wszystko powiym. To jest proste i dosz sie rada. Przeca jo je po tobie mondro!

FRISZTACKO:

Ty mi lepi zarozki powiydz, po co mi taki drogi gyszynk... Jo niy potrzebuja komputera, mom telewizor i somsiadów, to mi styknie za te wszystkie internety.

WERA:

Godom wom przeca, że byda terozki durś jeździć i tyn tablet jest po to, cobyh mogła z wami pogodać.

FRISZTACKO:

A mobilniok niy styknie? Już mom opanowane te wszystkie knefelki, co to ich nawet niy ma, bo som blank płaskie...

WERA:

Ale bez tyn tablet bydymy niy ino godać, ale tyż bydymy sie widzieć! W tym je cały szpas! Jo jada dopiero po niydzieli, to terozki momy czas, cobyście, oma, to łoponowali. Załonczom i uczymy się! Byda twojom rehtórkom.

SCENA II

Frisztacko stoi wele łokna i kuko bez gardina na plac. Słychać klupanie do drzwi, ale łona choby niy słyszała. W końcu ktoś łotwiyro. Włazi Wera i somsiadka, Witulino.

WERA:

Oma! Żyjecie! Jo już myślała, że sie cosik stało i poleciałach do Wituliny po wasze klucze! Czamu niy łotwiyrocie?

WITULINO:

Jo blank zapomniała, co te klucze na zapas som u mie, Werka pamiyntała! Co sie stało, somsiadko??? Ale żech sie znerwowała!

FRISZTACKO:

Jezderkusie, niy gorszcie sie. Jo sie zagapioła bez łokno i nic żech niy słyszała tego klupania...

Witulino i Wera podłażą do łokna i chcą cofnąć gardina.

FRISZTACKO:

Niyyyyy! Zostowcie ta gardina, niy mogom mie uwidzieć!!!

WERA:

Oma, co wy zaś zmyślocie? Kto wos niy może widzieć?

FRISZTACKO:

Wejrzycie ino, ale bez te łączka w gardinie. Widzicie tego chopa, co stoi pod masarzym? To je karlus72. A chopa pod jarzyniokiym, z kwiotkami? To je hajer70. A jakbyście sie barzi przechyły bez fynsterblat, tobyście jeszcze zoboczoly pod kioskiym gryfcoka z glacom, podobnego do tego aktora Ne-inerta, co żech go w tyjatrze widziała, jak my boły z Werkom. A pod szkołom z różom w rynce to je gorol1943.

WERA:

Oma, co wy prawicie? Jaki gorol? Jako glaca? Trzy tydnie mie niy boło... Co tu sie porobiło?

WITULINO:

Jo cheba wiym, ło co chodzi... Pani Frisztacko, jo opowiyem Werze, bo to cheba moja wina.

WERA:

Wyście łobie coś nazgobiły, ale jo durś niy wiym co, godejcie! Choby z małymi bajtalami!

WITULINO:

Bo jo żech je zapisano na tako strona, co sie nazywo zolyty kropka pl...

WERA:

Że jak!? Że niby z chopami zolycicie bez internet? Umawiocie sie?

WITULINO:

No ja... Przeca jeżech sama, cosik mi sie tyż łod życio noleży. Łaża sie do kafyjów, łosprawiom sie z tymi chopami. Ale nic wiyncyj, nic z tych rzeczy, co mosz na myśli, Werka! No i żech pokazała somsiadce, no twoji omie, że jest takie cosik. Ino żech nie wiedziała, że sie tak wciągniecie, Frisztaccyno.

Witulino patrzy na Frisztacko.

FRISZTACKO:

No ja... Jo wiym. Ale jak żech sie zapisała na ta strona, to mi sie tak miyntko zrobiło, że te bele jakie chopy do mie pizsom, że sie im podobom, żech je gryfno dziołcha...

WITULINO:

No ja, ino żeście tam dali fotka, coście klipsnyli ze 30 lot nazod!!!

WERA:

Oma, jo to rozumia, ale czamu umówiyliście sie ze sztyrema chopami naroz, i to ło jednym czasie? Niy stykło wom jednego?

FRISZTACKO:

Jo boła ciekawo, czy łone przyjdom... A po wtore – jo zech sie chciała ich ło-bocyć, i terozki widza, że jak łone piszom hajer70 i karlus72, to łone majom tela lot, a niy, że to jest łod nich rocznik. To som stare chopy!!!

WERA (*fest sie lacho*):

Oma, niy dość, że sztyrech, to jeszcze z modymi chcieliście zolycić? Po kim wy to mocie!?

FRISZTACKO:

Ty sie, Werka, niy śmijj ze swoji omy. Na co mi stary chop, no godej? Tyś sie pojechała, dałaś mi tyn tablet, to terozki mosz!

WERA:

Oma, a co z Alojzym? Wiy, że zolycisz z innymi chopami?

FRISZTACKO:

Z jakim zaś Alojzym?

WERA:

Przeca z waszym somsiadym z dołu! Niy znom innego Alojza, a przeca łon już ze dwadziyscia lot sam miyszko we familoku, sprawunki wom wnosi, a plecyska go bolom, gybis zacisko i leci na drugi sztok. Grocie w karty, siedziecie na placu i pociskocie fleki, a wy Alojza niy znocie?

FRISZTACKO:

Aaaa... Tyn Alojz... No ja. Ale to przeca je już stary chop.

WERA:

No ja, oma, mo tela lot wiela wy i jest tukej. A niy kajsik w internecie!

WITULINO:

Wera, bo trowa jest zawsze barzi zielono na innym placu! A z Alojza to jest naprowdy porzondne chopisko...

WERA:

Oma, wom trzeba dać jakisik szlaban na tyn tablet, jak bajtlom sie dowo. Jo już leca! I zostowcie już te zolyty kropka pl, bo niy wiadomo, na kogo treficie, jo wom radza!

SCENA III

*Witulino siedzi z Frisztackom przy stole.
Frisztacko mo na łebie mokry sznuptuch.*

WITULINO:

Toż łosprowiejcie, coż sie to stało takigo, że wos łeb boli i nikogo niy chcecie widzieć, Frisztaccyno? Bez poëdnie żech wos widziała, że idziecie wysztiglowano, dałerwele świżyżo zrobione, włosy na fiolet, nowy klajd, bo ze zadku żeście metki niy uszczigli i boło widać. Nawet szczewiki na abzacu, co do kościoła tak niy łazicie łoblecono! Jo niy je tako gupio – zaś włazicie na zolyty kropka pl i żeście szli na randewu! A łobiecaliście Werze, że z tym już szlus!

FRISZTACKO:

Jo wiy, że pedziałach Werze, co niy byda sie umawiać... Ale łostatni roz żech tam włazła, coby skasować to pieroństwo... no i zaś żech niy strzymała! I żech zacza takimu jednemu fest gryfnemu chopowi łodpowiadać, i łon sie jeszcze tak piykanie nazywo: kusiolek72. I dzisiej żech sie szła z nim łobocyć.

WITULINO:

I co boło dali? Łosprowiejcie, ale gibko!

FRISZTACKO:

Poszłałch na bana, pojechałałch tam, kaj mi napisoł. A w rynce trzymałach... No ja, to jest blank dziwne, ale w rynce trzymałach blumkol. To niby tyż kwiotek, ino jak terozki ło tym myśla... to róża to niy jest. A i niy wonio za piykanie...

WITULINO:

To richtig fest śmiyszne tyn blumkol. No i co boło potym?

FRISZTACKO:

Stoja, czekom, niy mom dychu, bo z tych nerwów to miałałch hercklekoty, gorko mi boło... Narozki widza, że niydaleko mie stoi wysztiglowano baba i trzymie oberiba, trocha dali zaś inna wysztiglowano i trzymie szałot, a na końcu placu stoi jeszcze jedna – i mo krauza łogórków!!! I zarozki żech wiedziała, że wszystkie czekajom na tego pierońskiego kusiolka72. Poszłałch do tyj baby z oberibom i zapytałach ło niego, potym razym poszli my do tyj z szałotym i krauzom. Łone tyż zolycioły z tym kusiolkiem!!! Wycieplałch blumkol do hasioka i przyjechałach do dom. Tako gańba!!!

WITULINO:

Somsiadko, a to wom czegoś niy przypomino? Kto sie chcioł zobejrzyć sztyrech chopów?

FRISZTACKO:

No ja... To bołach jo i mie srogo skorało. Zarozki siadam, biera tablet i frelka⁷⁰ przestowo zolycić.

WITULINO:

A jo żech sie terozki tak pomyślała, że to niy boł przypadek – te sztyry baby i jedyn kusiolek. I te gemizy w rynkach to boło fest, ale to fest śmieszne. Kusiolek zrobiół wos w konia... Tak choby wos znoł!

SCENA IV

Frisztacko siedzi na ławce przed familokiym, podłazi somsiód Alojz.

ALOJZ:

Szczynść Boże, somsiadko, moga sie kole wos siednąć?

FRISZTACKO:

Siadejcie, Alojz, placu jest dość...

ALOJZ:

Cosik humoru łostatnio niy macie... Wnuczka niy przyłazi, to wom sie ckni?

FRISZTACKO:

To tyż, ale jeszcze trocha i przyjyżdżo nazod. W Rajchu terozki jest, wycie, dyrechtorka, to sie durś szkoli. Jo z niom dziynn timerosprowiom, bo mom tyn tablet do godanio.

ALOJZ:

To co macie tako mina, choby sie cosik stało? Przeca widza! Z doma mało kiedy wyłazicie, w karty niy przyłazicie poszpilać, som żeście choro, niy dej Boże?

FRISZTACKO:

Zdrowo żech jest, tak jak każdy, co skończył zibcich... A... macie recht, mom swoje do myślnio i aż mie łod tego gowa boli. Niy moga wom wiyncyj pedzieć, bo sie bydziecie ło mie źle myśleć, abo śmioć. Abo i to, i to.

ALOJZ:

Coż wy godocie za farmazony... Tela lot sie znomy, a jo jest łostatni, coby sie śmioł z takij gryfnyj baby jak wy! Podźcie do mie, zrobia cosik do picia, zjemy zista, bo żech upiykł rano, i łotworzymy sie nalyweczka na smutki. Niy dejcie sie prosić.

FRISZTACKO:

Wyście, Alojz, zista piykli?

ALOJZ:

Jak chop jest tela lot som, to sie wyuczy bele co robić. Mom internet, tam jest wszystko łopisane, abo i film jest. Poleku nawet chop do rada zrobić zista, abo i dorta na gyburstag.

FRISZTACKO:

Jak tak godocie, to ida na zista z komputera. Terozki mi niy po drodze z tymi internetami, ale niych wom bydzie...

SCENA V

*W izbie siedzi Frisztacko z Alojzym, grajom w karty, popijają gorzółka.
Kłupanie do drzwi.*

FRISZTACKO:

Łotwarte! Właż, Werka, wiym, że to ty!

Wchodzi Werka, dowo kusika omie.

WERA:

Dziyń dobry, panie Alojz, co tam u was?

ALOJZ:

Je lepij niż dobrze! Nawet sie, dziołszka, niy spodziywosz, jak dobrze!

WERA:

Godałach wom, że tak bydzie. Ponbocek niyrychliwy, ale sprawiedliwy, jak to sie godo.

ALOJZ:

Mosz recht, dziołszka, mosz recht!

FRISZTACKO:

Ło czym wy godocie? Jo zaś nic niy rozumia co to, że Ponbocek niyrychliwy?

Alojz głasko Frisztacko po rynce.

ALOJZ:

Nic sie niy nerwuj, dzióbecku, my sie ino tak z Werkom łosprowiomy...

WERA:

Oma, czy jo sie przesłyszala? Dzióbecku? Wyście som dzióbeckiem łod pana Alojza?

FRISZTACKO:

Jo tam niy wiem, ale jak łon tak godo, to cheba ja... Jezech dzióbeckiem.

WERA:

Trocha mie niy ma i tukej takie zmiany! Alojz i dzióbeczek, moja oma! Witulino już wiy?

FRISZTACKO:

Łona by niy wiedziała, co sie we familoku dzieje? Tak chobyś jom niy znała!

ALOJZ:

Witulino to jest FBI i CIA dwa w jednym. A nawet wiyncyj. Łona wiy nawet to, co sie pomyślisz! I czego niy pomyślisz tyż...

FRISZTACKO:

Ale przeca niy wiy, że jo jest dzióbeczek łod Alojza! Lojziku, godołeś z niom łostatnio?

ALOJZ:

Niyyyy, ale wiem, że durś kajsik wysztiglowano loto. Widza bez łokno. Wetna sie, że z kimś zolyci. Ale niy jest to kusiolek72, bo za stary dlo niyj i już zajynty!

FRISZTACKO:

Jaki kusiolek72? Alojz! Skąd ty ło nim wiysz? Kto ci pedzioł? O ja! Witulino! Ta pierona mie wyzdradzioła. Ino łona wiedziała. Już jo ji nazdom. Niyh ino sam przylezie, to ze schodów bez gylynder senci!!!

ALOJZ:

Ty sie, dzióbecku, niy nerwuj, przeca wiysz, że ci niy wolno. Witulino nic niy pedzioła. Jo to wiem, bo jo zech jest tyn kusiolek72.

FRISZTACKO:

Ty, Alojz? Jak to? To tyś mi kozoł z blumkołym stoć z fioletozymi dałewelami przy ludziach w bioły dziyń? I tym babom z oberibom, szalotym i krauzom łogorków?

ALOJZ:

Niy gorsz sie na mie, ale to boł jo...

WERA:

Oma, i moja wino to tyż jest... Bo jo pedziała panu Alojzowi ło tych sztyrech karlusach na skrzyżowaniu, co na ciebie czekali. Ale żech niy wiedziała, że somsiod tyż wlezie na zolyty kropka pl i bydzie z tobom zolycioł...

Frisztacko wylazi do kuchni.

Wera i Alojz siedzą przy stole i patrzą na siebie.

Frisztacko włazi nazod do izby.

FRISZTACKO:

Wiyecie co, niy gorsza sie na wos. Ani na ciebie, Werka, ani na ciebie, Lojzik... Mieliście recht, coby mi dać nauka. Żle żech zrobiola z tymi chopami: karlusym72, hajerym70, gryfcokiyem z glacom, co boł podobny do tego aktora Neinerta z tyjratru w Katowicach. I nawet z tym gorolym1943, choć to gorol. Chopy się wysztiglowali, przyjechali, a jo żech nawet do nich niy wylazła, niy zagodała, ino żech kukała bez gardina. I kusiolek72 mi pokozoł, jak to je niy-fajnie. I powiyem wom jeszcze, że łostatni roz frelka70 wlezie na zolyty kropka pl i tych wszystkich chopów przeprosi. A można i zaprosza na jako kawa...

ALOJZ:

Ty sie, dzióbku, niy rozpyndzej z tom kawom. Styknie, jak przeprosisz, i... szlus! Jeszcze mi cie kieryś łodbije!

Frisztacko przytulo sie do Alojza.

FRISZTACKO:

Bydzie, jak chcesz, Lojzik. Ino przeprosza i już żodnego zolycynio bez tyn internet. Terozki byda zolycić ino z tobom!!!

STEFAN, HELA I NIYDZIELA

Anna Kandziora

OSOBY:

HELA	lat kole trzydzieści, pedziołbyś, że fajno frelka, szło by z niom konie kraść i na targu przedować
STEFAN	karlus konkretny, lat kole trzydzieści dwa, niy pedziołbyś, że typ sportowy, bliżyj mu do działkowca
GOŚĆ	tego to my niy znomy wcale

*Hela i Stefan we łóżku. Jest blank wczesne rano w niydziała,
dyć dzisiaj niy cza sie do roboty uwijać, to sie idzie pospać.*

*Hela otwarła oko, leży cicho, myśli, czy wstować już, czy niy,
krynci się z boku na bok, ale cicho, niych sie Stefan jeszcze chrapie...
W końcu decyduje sie wstać.*

HELA:

A dobra, i co z tego, że jest niydziała! Jo niy umia tak długo spać. We łbie mie potym łupie, kawy to ze trzy musza wypić i cołki czas myśla, kaj mi tyn czas uleciał... Jak niydziała, to bumela... Niy, to u mnie niy działo. A kaj łobiod, a szpacyr i te inksze rzeczy... Może potym się jeszcze legna.

*Wstowo, idzie do kuchni przez antryj, a wielki majom tyn antryj,
i stowo jak kolek, patrzy, przeciroy łączy,
jeszcze roz patrzy na miejsce kole drzwi.*

HELA:

Jeronie, świnynty walniynty! Biołe szczewiki!? Jo chyba źle widza! Stefan by sie kupioł biołe szczewiki i nic niy pedzioł ? Ach biołe, to jeszcze nic, ale że adidasyl?!

Idzie do sypialni, budzi Stefana, czułym głosem szepcze do ucha.

HELA:

Stefanku, a co jo widza w antryju? A tyś mi nic niy pedzioł...

Stefan ino mruczy cosik pod nosym.

HELA (*czule szepcze*):

Stefan... Tyś sie kupioł nowe szczewiki, widziałach, w antryju stojom...

STEFAN (*otwiera jedno oko, przekryncio sie na drugi bok, rynkom macho, jakby łostudno mucha przegonioł*):

Cooo zaś... Dej mi spać, babo...

HELA:

No dom ci spać, ale czemuś nic niy pedzioł, że sie nowe szczewiki kupisz?

STEFAN:

Co? Nowe? Jo? Dej mi spać, jest niydziela rano, a ty mie budzisz przez jakieś pierdoły!

Zakrywa głowę pierzyną.

HELA:

No przeca widza, blank nowe szczewiki w antryju stojom.

STEFAN:

Dej mi spać! Jakie nowe szczewiki? Hela, o czym ty godosz?

HELA:

W antryju stojom blank nowe białe szczewiki! Przeciyż widza, i ty pieronie diosecki nic żeś mi niy pedzioł, że sie kupisz nowe.

STEFAN:

Hela! Co ty bredzisz?! Jo niy mom nowych szczewików, a ciebie sie chyba coś przewidziało...

HELA (*leci do antryju, patrzy na szczewiki, ale tak wyraźnie, coby Stefan widział, że łona patrzy. Leci nazod*):

Stefan!!! Niy powiesz mi, że jo źle widza, abo że cie robia w konia, ty adidasie! No som, sie obejrz, stojom tam szczewiki! Białe! A wczoraj niy stoły! A ty paciuloku jedyn, jak bydziesz mie dalij robioł w konia, to ci łeb urwia i spakuja do kartonu po tych szczewikach i łoddom w reklamacji!

STEFAN (*znerwowany, wyciepuje kołdra na podłoga, ostentacyjnie depto po niyj jak po kapuście w boncloku i idzie prosto do antryju*):

Hela, prima aprilis dzisiej niy jest, ale za to moga ci zrobić ekstra śmigus-dyngus, jak mnie... Co?! Co to za szczewiki!?

HELA:

No chyba niy moje, jasnie panie Stefanie! Dyc już pół godziny godom o tych adidasach!

STEFAN:

Ale jo pierwszy roz widza je na łoczy! No godom ci!

HELA:

Ja? A to ciekawe, kero baba ci w szportowym doradzała? Bo mie sie wydowo, że taki bioły kolor to ci do fuzecli niy pasuje! A te oryginalne, z tego, co wiy, to trzy paski majom, ale w pionie, a ty mosz jakieś pomyłone! Niy dość, że biołe, to jeszcze podróby!

STEFAN:

Kurde bele! Hela, robisz mie w bambuko! Skąd mosz te szczewiki, godej!

HELA (*w tym momyncie robi sie blado, patrzy za siebie, wprost do wielkij izby, a tam...*):

Ty, Stefan... Patrz do izby! Tukej ftoś leży.

STEFAN I HELA (*jednym głosem*):

Oż jasny kur... dywanie!

*Stoją jak wryci, na kanapie we wielkij izbie leży sie jakiś chop,
przykryty dekom aż po same brwi. Patrzom nazod do antryju,
a tam nad szczewikami wisi mantel. Żodyn ani słowa nie puści z gymby,
ino patrzom na siebie coraz większymi łoczami.*

HELA (*po chwili szeptem*):

Stefan, fto to jest? Znosz tego chopa?

STEFAN (*tyż szeptem*):

Jo niy... Piyrwszy roz widza. A ty go znosz?

HELA:

No przeciyż że niy. Co łon tu robi? Jak tu wloz?

STEFAN:

Niy mom bladego pojyncia! Weż go łobudź.

HELA:

Jo? A czemu jo? Ty weź go łobudź.

Stefan bez słowa stanowczo kręci głową, że niy ma bata.

HELA:

Dobra, jo byda ta baba z jajami. Mhm... Halo, panie. Co wy tukej robicie?

*Gość wydaje pomruk, łobraco sie z boku na plecy,
widać jego gymba, ale cołkiem nieznajomo.*

HELA:

No, halo! Co wy tukej robicie?

GOŚĆ (*widać trocha, że jest chyba wczorajszy*):

Co? Dejcie spać...

HELA:

No jak dejcie spać, jak to jest naszo izba! Co ty tu robisz, chopie?

STEFAN:

Ja żeś tu włoż, godej!

HELA:

Niyy, to jest jakiś absurd – w niydziela rano wstowosz i mosz obcego chopa w doma! Jo w to niy wierza!

GOŚĆ:

Jak obcego chopa? A kaj jo jest?

STEFAN:

No tukej, u nos! My sie niy znomy!

GOŚĆ:

Jo tyż wos niy znom...

HELA:

Ale my tu mieszkomy.

GOŚĆ:

Ale jo miał sam przyjechać, chopcy godali...

STEFAN:

Jakie chopcy?! Kaj?!

GOŚĆ (*siada chwiejnie*):

No, chopcy godali, że do Gliwic mom jechać, to żech jest. Łoni jeszcze zostali, ale jo miał już dość tyj imprezy, spać mi sie chciało. Przyjechała banka i żech pojechał...

HELA:

Jeronie, jakie Gliwice? Tukej jeździ bana, ale niy do Gliwic, tu jest Zgoda.

GOŚĆ (*wydaje sie, że patrzy bardzij przytomnie, ale nazod sie kładzie i zakrywo dekom*):

No, i zgoda...

HELA:

Chopie, łobudź sie, co ty tukej robisz?

GOŚĆ:

No przeciyż bana przjechała, jo miał być w Gliwicach!

STEFAN:

Toś sie, chopie, zrobił fajno impreza, a jeszcze lepszo po niyj wycieczka! Ale jak tyś tu włoż?

GOŚĆ:

No drzwi były łotwarte, no to żech włoż. Pożno było, a co miałżech po ćmoku tak łązić po dworze?

HELA:

Ale do cołkiem obcych ludzi?

STEFAN:

Drzwi były łotwarte?! Hela, tyś niy zamkła drzwi? A godom ci zawsze – jak do dom włazisz, co byś zamkła na klucz.

HELA:

Ja, no i piyknie! Teroz to wszystko bydzie moja wina... Jo niy zamkłach drzwi, o jakichś szczewikach durś godom jak pomyłono, w niydzia niy dom ludziom spać...

GOŚĆ:

To jest wszystko prawda...

HELA:

Co?! I jeszcze jakiś obcy frompel bydzie mi marudziół, że go w niydzia budza rano! A może łon by sie społ jeszcze do dwanostyj?!

STEFAN:

No dyc, tak jest! Jo bych społ jeszcze do dwanostyj!

GOŚĆ:

Jo tyż.

HELA:

O niy! A co wyście sie tak zbratali jedyn leber z drugim, co? I łoba bydom mi teraz na zmiana przytakiwać? Tyn by sie pospoł, a tyn by sie do Gliwic banom nie pojechał, bo po co, jak może tu posiedzieć i nikt mu gowy nie truże?!

STEFAN:

Helusia, ty sie niy nerwuj, dyć jest niydziela! Już my tu z panym...

GOŚĆ (*wyciąga rękę*):

Ignac.

STEFAN:

Już my tu z panym Ignacym pogodali, styknie mu tego spania po biglu w naszym izbie i sie pojedzie do dom, do Gliwic. A my sie pudymy legnonć, dyć jeszcze kawał niydzieli przed nami...

HELA (*znerwowano, ale już jest lepiej*):

No niy wiym...

STEFAN:

No dobra, to sie, chopie, zbiyrej do dom i niy włącz ludziom do chałpy, jak niy twoja.

GOŚĆ:

Ja, wiym, ino sie niy nerwujcie. Już ida.

Wstowo, biere te swoje białe szczewiki i mantel.

GOŚĆ:

W sumie to wom powiym, że mi sie całkiem dobrze u was społo.

Wyłazi.

STEFAN:

A jo sie ciesza, Ignac, żeś jest porządny chop...

STEFAN (*zamykając drzwi na klucz*):

Hela, jo bych sie w życiu takich szczewików niy kupioł!

HELA:

Wiym... Coś mi tu łód samego poczontku niy pasowało.

ŁOJCIEC PRZOŁ POLSCE

monodram

Grzegorz Sztoler

Pamięci dr Bronisławy Spyry,
pszczyńskiej archiwistki,
i jej ojca, Ludwika Pisarka,
powstańca śląskiego z Królówki

*Na bina wlezom roztomajte ludzie, pierzin wi, czy to sie omie zdo...
Wlezie powstaniec, zanim insi powstańce, wyńdzie i farorz.
Bydzie też jakosikej babka, modo pani, bajtle...
Łobejrzycie sami...*

*Bina. Na stołku siedzi Oma z kryczkom, spomino.
Kole ni na stole leży sterta albumów familijnych, briefów, книгów,
cajtungów, kej w archiwum. Kolybie tom krykom roz w lewo, roz w prawo...*

OMA:

Już za niyskorzi przidzie mi zemrzeć... Ja, prowda padom, dyc mi łosmy krzy-
żyk pizło... Zaroski przidzie ku mie ta łona z kosom, pierzinie... Jo se ani niy
dała pozor, kej tyn czos mi przelecioł... Kej mi te lata minyły... Bożyczku
śwynty... Ludwiczku kochany...

Ja, na Ludwika to my radzi łazili na łodpust do Panywnika. My, wszyscy,
Pisarki z Królówki, moji braty, siostry do kupy hań my szli... Porzykać w ba-
zylice, łobynś Stacje Mynki Poński, pota ku budom i pojeś se na łonakch. Jo
wdycki s uciechom szła ku budziorzom podziwać sie, co zaś majom. Niy coby
kupować, nom sie niy przelywało... Ino sie podziwać... Tusz braty wiedziały,
kaj mie szukać, bo zech – jo, tako mało strzyga – gibko sie familii traciła. A
łoni, nasi łojce, łujki i ciotki, wdycki mieli do pogodanio – ło polityce, ło
krowach, ło robocie... Szli my tam ze srogom pompom, bo mój łojciec mia-
nowoł sie genau, kej tyn śwynty z Panywnika, Ludwik. Inoś my naszymu
Ludek padali.

Mój łojciec, wycie, to rychtyk wielki Polok i powstaniec był... Komyndyrowoł chopom, kierzi do powstanie szli, komyndyrowoł na cołki dawny powiat pszczyński. Łon ważno figura był, tyn mój fater.

Ponbóczku! Łósmy krzyżyk mi przesze! Zdo mi sie, cozech niy wszysko srobiła, cozech miała do sprawiynio tuckyj, na ziymi... Nale robotno zech wdycki była. Jo je z biydy chowano, jo sie roboty nikej niy boja, pierzinie... Mie do nij łojce gonili... To, co zech przeżyła, to sie niy wróci, przeszło...
Ja... łojciec to był wielki Polok...

Muzyka (gajgi na piyrszym planie). Na bina włazi powstaniec kole sztyrdziestki, z karabinem, kiery przykłodo, sprawdzo... Oma godo dali...

OMA:

Mój łojciec, rocznik 1888, przyszeł do Królówki z Lipin, tuckyj sie wżynił. Wzion se Rozalke łod Juranków. I tam gospodarzyli...

Na bina włazi modo pani i biere za rynka powstańca.

OMA:

Łożynili sie w 1915. Miłowali sie fest... I robili ciyszko... Porodziły sie hańdziecka: Władysław, rocznik 1917, i Stanisław, w 1919 roku, w kerym wybuchło piyrsze powstani. I zemrziła biydno Rozalka...

Ze biny słazi Rozalka, panna młodo.

OMA (*myndykuje, je cicho i godo*):

Rozalka wziyna i łumarła zaroski, kej porodziła drugigo synka... Zachorzała... I skuli tego, co tyn jej chop, a mój łojciec, tak politykował... To były ciyszki czasy... Dyc i chałpa budowali s czerwonej cegły, kerej Antoniczek we forbale pilnowoł. I gospodarzyli... A łojciec to wielki organizator był... Tyjatry robił... Powstańcami komyndyrowoł... Ło Polszcze godoł, kej sie to jeszcze mało komu śniło, co ta Polska tuckyj przydzie... Dyc wszyńdzie były Nymcy, niymiycki cysorz, niymiycki pon, na kierych my, Ślonzoki, robić musieli... No ja, niywiela sie pomiyniło... My dali som ino łod roboty... Kej tyn koń...

*Oma machnyła rynkom.
Powstaniec śłazi z biny, gro marszowo muzyka.*

OMA:

W 1920 roku, kej było drugi powstani, mój łojciec sie łożynił drugi raz... Tak downi robili, coby sie spomóc... Wzion se młodszom ło dziesiyńc lot Marta Janasikowom ze Zgonia, kiero miała dwadziyścia jeden roków.

Muzyka, Mendelssohn, na bina włazi drugo panna młodo. Włazi i śłazi.

OMA:

Miyszkąła s nami babka, matka łod mojigo łojca, Pisarkowo z Lipin. Łonej sie mój łojciec boł, jom szanowoł... Mioł przed niom reszpekt.

*Muzyka, łodgłosy napołnianych, trzaskanych kuflów,
harmider gospody, godka ludziów.*

OMA:

A łojciec to rod politykowoł... Rostomajte mityngi, spyndy łorganizowoł po karczmach, na kerych łopowiało ło tej wielgi Polsce, co tukyj przydzie i nos wyzwoli. A godane to łon mioł, pierzinie... Łumioł sie wypedzieć, a ludzie radzi go suchali... Kupa jich tam przyłaziło... A pota, jak se podpili, to sie prali... Niby Niymców ku Polsce nawrocali, chachory jedne, łopszczymordki łodrzistane... A Pisarkowi to pasowało, skuli co łon tysz świynty niy był... Tosz niyroz przyłaził piechty do dom niyskoro bez noc, a babka Pisarkowo już wachowała na łonego we dźwiyrzach... I ino słyhać było „klac, klac”, jako Ludwika matka piere po pysku... A łon ino do nij kej taki bajtel: „Mamulko, mamulko, niy bijcie!”. A jego matka juzaś „klac, klac”... Dyć łon sie ani niy bronił, ino stoł borok we dźwiyrzach i dowoł sie prać. Nale ino matce, kiero straciła sie w 1929 roku, ino matce dowoł sie łoć po pysku. Bo matka mogła, insi niy, niy śmieli...

*Babka Pisarkowo przelazi bez bina skulono, z krykom.
Na chwila sztopnie, podziwo sie przed sia i dali póndzie.*

OMA:

Jo tedy miała ze trzy roki, kej babka zemrzała. Spominom se, co jeszcze zdon-
żyła dać krzyżyk mojemu bratu, Bronkowi, kery porodził sie w tym samiuś-
kim roku, w kerym babka Pisarkowo wziyna i łumarła... Poszła ku Ponbócz-
kowi na wiyrch.

Muzyka. Na bina włazi powstaniec.

*Starszy, z brodom, abo wonsem, nale to je tyn som chop,
co nejprzódzi, inoś mu ździybko roków podeszło.*

OMA:

Jo sie porodziła, jakeście se porachowali, w 1926 roku, siedym lot po piy-
rszym powstaniu, piyńć lot po plebiscycie i trzecim powstaniu... Łojciec
chcioł synka... Nale dziółcha sie mu porodziła... Myśłoł, co jak bydzie łojcem
siodmego synka, to jego potkem łostanie som przyzydent Polski. Taki było
prawo... A tukyj psinco! Podziwejcie się, pierzinie, synków już Pisarkom niy
przybyło... Frelka sie przidarzyła... Nale to trza pedzieć – po mie przyszło
eszcze pota trzech synków... Tosz wyicie już sami, co moj łojciec niy był za
fest rod skuli łonego, co mu boczoń do Królowki dziółcha przynios, a niy
synka.

Powstaniec marszczy brwie, mronczy cosikej i śłazi z biny.

OMA:

Tosz skuli tego, co chowały mie braty, rosło zy mie dziółszysko. Pamiyntom,
co mie wozili na takim drabinioczku, co my kupiyli łod takigo jydnego gó-
rola, kery łaził i handlowoł po Królowce. Tosz wozili mie, małom, w takim
rafioczku, a kejsikuj łostawili tyn wozyczek na drodze kole chałpy. A mie,
skisz tego, coch usz gupio nie była, mie sie hań rychtyk mierzło... Tosz wyla-
złach stego rafioczka na ta czesta... I raczkowałach kej jaki piys po tej drodze,
miyndzy kolyjinami, bo łazić żech przeca eszcze niy poradziła... No i jaki-
sikuj gospodorz zy Zgonia jechoł koniami, pyndził, pierzinie, kej jako dym-
fmaszina, inoś w łostatnim momyncie zawołoł: „prrrrrr”, ściongoł łopraty i
wywinoł te konie na bok... Boby mie rozjychoł... Placek by ino zy mie łostoł...
Niy trza godać, co łon, tyn pampoń, fest pieronił i szpetnie przeżywoł na
mojich łojców... „Czyj tyn bajtel tukyj je?” – rozpytywoł sie ludziów. A kej sie

dowiedział, to zawios mie do chałpy, a z pyskem wloz na plac, bo wrota były łotware do korzon... A chopcy, wylynkani, przyšli pota do chałpy z pustym wozykem. Nale łojciec jusz na nich ta czekał, pra... Cheba nie musza wom prawoć, co za larmo było pota w chałpie łu Pisarków... Niy trza godać, iże łu nos był Sond Łostateczny... Chopcy mieli fest zeprane rzicie, łojciec sie ta niy smolił... Łu niygo roz pedziane miało być suchane... Łon niy drzistoł po darymnicy... Ani staro Pisarkowo gymby niy łotwarła, kej sie łojciec s nami łużyroł, a dyc miol praje... Ordnung downi musioł być... A dziecka miały reszpekt dlo starszych... Niy to co teroski, kej ci taki najdunch, podciep pierzyński, ani „harnij mie w zadek” niy powiy... Przełazi kole cia, kejby cie niy widzioł, kejbyś luftem był, a niy czowiekym...

*Bez bina przeżyżdzo pusty rafioczek, ciongniony bez pora synków,
kierzy co chwila podskakujom, trzymajom sie za rzicie i rycom:
„Ałlaa, ałlaaaa”... Łojciec, dejcie pokój, my jusz niy bydymy”.*

*Za nimi leci powstaniec z poskem/biczem w rynce i rycy:
„Wy huncwoty, chachary jedne, jo wom dom, jo wom pokoża...
Dziółcha byście mi potracili, najduchy jedne soroński...”.*

OMA:

Tosz nie dziwiejcie sie, co moja matka wdycki padała, że łona łody mie woli dziysiyńciu synków, bo mie łupilnować niy szło. Tak żech rojbrowała. Taki synczysko zy mie rosło...

Na bina włazi powstaniec z babom. Muzyka – gajgi. Tańcujom.

OMA:

Ino łojciec mi rychtyk przoł, chociosz niyros mie sztorcowoł... Nale przed matkom mie bronił... Wszyski ciotki, somsiadki ino załomowały rynce i padały: „Co tysz wyrośnie stego dziółszyska, cheba jakisikuj łokropeczny chachor”. Ino łojciec wiedzioł, iże w życiu ino tacy se rade dajom, a niy jakisikuj ślimoki... Tosz łojciec mi przoł – i zdo mi sie rod był skuli tego, coch była tako charakterno... A te wszyski łusmolone ciotki durch ino mi wygadywały, mie, młodej frelce, co to zy mie za darymnica je i bydzie, iże se w życiu niy poradza. Nale to jo pokończyła szkoły! To jo robiłach w ksionżyncym archiwum na samiuśkim zomku we Pszczynie, pra...

To jo żech pisała ksiożki, jo, prosto dziółcha z Królówki... A kej ino łojciec doł mie posłać do szkół, to łony, ciotki, siostry jego, padały, co dziółcha sie niy śmij kształcić, co mo siedzieć w doma, robić przy chałpie, prać i łoporzondzać wszysko, coby chopa późni znodła. Inacy toby sie świat zwyrtnoł... I tak sie rychtyk kopyrtnoł...

*Na bina włazi fetny farorz. Słazi powstaniec z babom.
Farorz stoi, łotwiyro brywiorz i rzyko, roz za kedy grozi palcem Omie.*

OMA:

Do szkoły to żech miała ze dwa kilometry piechty za drogom. Szkoła stoła we Woszczycach, Królówka była za mało, coby w ni łuczyć dziecka. Tuky ludzie wdycki mieli pod gorka... Nic sie niy pomiyniło, pra... Wdycki my sie śpiychali do tej szkoły abo kościoła. Nale podwiela¹ sie przylazło ze szkoły, trza było gibko krowy łodbyć, is snimi na pasionek² abo co-sikuj inszego wyporzondzić na dziydzinie³. Tosz skisz tego nazot my sie niy śpiychali do dom... Żodne ciubaryki⁴ s nos niy były, wdycki my wydzieli, co w doma robota na nos czeko... Tusz wandrowali my, smykali sie, kaj ino szło... Czesta⁵ ku Królówce szła bez las, nale kole stowów. I dziwejcie sie, poradza se spomnieć, jako sie niykie, te rybni⁶, kaczoki, a glienioki mianowały, ano: Mostownik, Stodrobelnik, Warszawka, Baraniok, Piosek Wielki i Maty, Farski Stow... Tosz kompali my sie w nim bez lato... A w lesie zbiyrali my maliny, łostrzynyny... Dzikie gruszki... Nale łazili my tysz na chaby i bralimy ze sadów jabka, śliwki... A chopcy sie spinali po gojach, ścigali sie, ftory wyżyj wylezie... No ja, jo tysz próbowała... Zy mie śwyntej by niy srobili... Ani s moich kamratów... Pochali my całom bandom i w żodyn roz⁷ niy śpiychali my sie do roboty przy chałpie.

Farorz dziwo sie na Oma.

¹ Jak tylko

² Pastwisko

³ Gospodarstwie

⁴ Głupki, niedorajdy

⁵ Droga

⁶ Staw z rybami (hodowlany)

⁷ Wcale

OMA:

No ja, wiyom farorzyku. Pamiyntom, coście mie sprzezywali, spominom se to... Szło to tak... Siedziałach ze starszom kuzynkom Anielkom w kościele... Farorz godoł i godoł kozani, i niy poradziół wyłonaczyć, ło co Ponbóczkowi sie rozchodziło... Plontoł sie borok i plontoł, srobił sie cały czyrwiony po pysku. Podany był coroz barzi do radiski⁸... I dali erklerowoł, nale niy wiedziół jusz, ło czym beblo... A ludzie jusz spowali... ziywali... Naroski zaczanach lotać po kościele... Nogi s rziciom mie bolały łod tego siedzynio w ławce, tusz jak to bajtel, chciałach se polotać... Ino polotać... Dyć było mi możne ze śtyry roki... No i fajnie mi sie tupało, echo na fol sie niosło po całkim kościele. Tupałach a tupałach, wiela wlazło... I rada lotałach łod jednego ołtorza ku drugimu... Farorz rychtyk stracił wontek, zaczon jynkotać⁹, a ludziska zaczani sie chichrać... Kościelny, borok, mie gonił wele wszystkich ołtorzy, bo mu farorz kozoł, nale niy łumioł mie chycić... A w doma zaś haja... Chopcy dostali po rziciach, bo mieli na mie dować pozór... Nale jako to szło łupilnować tako dziółszycy, takigo rojbra? Takoch była, pra, farorzyku?

Farorz kiwie gowom...

*Na bina wlazuje powstaniec, stowo kole farorza,
dziwo sie na niego, marszczy brwie, łodwraco sie bokym.
Farorz wzruszo ramionami, tysz sie rziciom łobraco do łonego.*

OMA:

No ja, mój łojciec z Hazokem, to je z farorzem Zajoncem, sie niy ciyrpiyli... Mój łojciec, wielki Polok i powstaniec, a farorz, kery z Łopolskigo musioł ponś po podziale Górnego Ślonska w 1922 roku. Pieron wiy, czamu sie żarli, kej i farorz był za Polskom i skisz tego musioł łuciekać, bo jego parafia łostała po niymiecki stronie. Możne inacy na to wolno Polska sie dziwali, każdy mioł swoja i każdy mioł praje, jak teroski, pra?

Farorz i powstaniec łobrucyni zadkami, filujom na sia po leku.

⁸ Rzodkiewki

⁹ Jąkać się

OMA:

Łojciec wdycki łąził na wielkie, na suma, matka na ranne, bo łobiod dzieci-
kom trza było łuwarczyć... Łaził, rzykoł, nale farorza łunikoł... Po kolyndzie
wielybniczka toch samach z matkom i bratami witała, łojciec wdycki z chał-
py natynczos wybywoł... Przali my farorzyczkowi, dyc nos krzcil, komunia
dowoł i spowiadał w suchatelnicy... Katechizm erklerowoł nom s ambony,
w kościele, bo hań hormija dziecek przyłaziła – a tych rojbrów, skierymi se
niy poradziół, wołół na ambona i na swoł proł po gymbie. „Jak cie strzelam
bezta paliłam” – padoł po swojemu, bo przyszeł z Łopolskiego. Nale nikej
żodnego niy zeproł... Przoli my łonymu durś, na kozaniach neprzod prawil
łó Ponbóczku, a zaroski pota padoł to o przyrodzie, zwierzynthach, łó świyn-
tej Ziymi, kaj kiejsikuj pontowoł¹⁰. My, dziecka z Królówki, radzi my suchali
tych światowych historyji... Nikej sie nom niy śniło, iże kaś dali pojadyemy...
Do nos była ino robota i robota... Do roboty my byli wyłonaczyni... A kaj życi
było, jo sie pytom? Dyc nom sie tysz cosikej noleżało, pra?!

*Muzyka, łorgany, farorz i powstaniec
słazom z biny w rostomajte strony, każdy łosobno.*

OMA:

No ja, miałach wom pedzieć cosikej łó tych powstaniach, prawda...

Na bina włazi powstaniec.

OMA:

Łojciec – wielki Polok s niego był, pierzinie. Łu nos w chałpie prawilo sie ino
po polsku, ja, moji łojce znali niymiecki ze szkół. Nale godali f nim, kej niy
kcieli, coby dziecka wiedziały, co łyznowajom.

Powstaniec spoziyro na Oma.

¹⁰ Pielgrzymował, od pońć - pielgrzymka

OMA:

Jeronie, doczkej, jo tukeyj rozkazuja... Łojciec, tyś jusz komyndyrowoł we powstaniu, pra...

Powstaniec salutuje, stoi na baczność.

OMA:

Wiesz co fater... Poczytom ci, cozech ło cia naszkryflała we ksionżce...

Oma wyjmuję kniga i czyto:

Idzie pedzieć, co we Królówce życi kulturalne kwitło kej łonka na wiosna. Chociesz była to nojmyjszo dziedzinka w parafii woszczycycki, dycki była w łonym do przodku, do porzondku zrychtowano.

OMA:

Mom praje, łojciec? Było tak?

Powstaniec kiwie gowom.

OMA CZYTO DALI:

Wszyske fajry łorganizował nasz fater, Ludwik Pisarek, kery sie mianował wielkim Polokem (chociesz mały był, nale dociyrny pieron). Dziynka niymu już za kajzyra Królówka była bastionym polskości i promiyniowała przoniyem ku Polsce na cołko łokolica. A za Starej Polski rychtyk fajerowali my we Królówce a na Woszczycach polski narodni świynta. Kōždego roku, na trzecigo maja, mój fater łurzonczoł festelny pochod we Woszczycach dlo cołkij parafije. Szło hań łoboczyć powstańców z fanami, strażoków, grubiorzy i inszych, no i młódź, harcerzy, a i szkolorzy tysz... Jak tysz miyjscowo ludność.

OMA:

No take były czasy, pra, łojciec?

*Bez bina przelazi grupa powstańców, młodzieży, ludzisków z fanami,
śpiyawajom piosynki powstańcze. Oma i powstaniec sie no to dziwajom.*

OMA:

Pamiyntom, łojciec, jak żeś jechoł na koniu na samym przodku, naleś był
wysztrychniony, galantny, jerrrrroonie... Matka aże błyskała ślypiami za cia,
fater... Dyc to pamiyntosz?

Powstaniec kiwie gowom, że pamiynto.

OMA:

Doczkej, dali ci poczytom, cozech jo, twoja cera, ło cia wyłonaczyła...

*Łoblykoł sie zowdy w mondur galowy ze wszyjskimi medalami, jake dostał za
udziół w powstaniach...*

To jakeś jechoł na tym łonym koniczku...

*W koźde norodne świynto przemowioł gorko do zgromadzonych z balkonu we
centrum wsi.*

Tyś, fater, mioł rychtyk godane...

*Był śniego festelnie dobry godocz¹¹, przemowioł dugo i z przekōnaniym, bez jakich
ino zapisek.*

Tyś mioł łep, fater, jerzinie...

*Ludwik Pisarek był znany w cołkim krysie pszczyńskim ze swoich gorkich,
patriotycznych godek, potrefioł zruszać do płaczek hormija ludziów naros...*

¹¹ Mówca

Prowda to była, muter niyroz to spominała, jusz po twoji śmierci, łojciec...
Bo bez wojna to my mieli rychtyk poniywyrka... Nale ciebie już z nami nie
było...

Powstaniec słaży po cichuśku z biny. Zapado ćmok, ino Oma je łoświetlono.

Czyto dali:

*Koźde norodne świynto za Staryj Polski sztartowało łod mszy świyntyj w kościele
farnym we Woszczycach i tym łonym wielkim pochodym. Popołedniu był tref
mieszkańców wsi na sali w gasthausie tu Bańczyka na Królówce. Roczyli¹² hań
ludziów grochówkom z wusztym i ślonskim kołoczym. Wszysko to rychtowały
siodłoczki s Królówki.*

OMA:

Łojciec! Kajś je?

Cisza.

OMA:

Fater, kajżeś poszeł?

GŁOS POWSTAŃCA ZZA BINY:

*W 1918 roku, w grudniu, kej ksiynża larmowali¹³ z ambon, iże to je grzych
śmiertelny, jak kto niy pońdzie welować do konstytuandy niymiecki, jo żech
namowioł ludzi, coby niy szli. Łorganizowolech mityngi we Suszczu, Zgoniu,
Gostyni, Orzyszu i we Woszczycach. Przyszło hań z tysionc ludzi. I mie suchali,
pieronie, niy tych maślanych, niymieckich farorzyczków.*

Na bina włazi hyrski¹⁴ powstaniec.

¹² Częstowali

¹³ Wołali, krzyczeli

¹⁴ Dumny

OMA:

To je prowda, to mi muter prawila... Pamiyntom...

POWSTANIEC:

I juzech nazbiyroł z dwiesta chopów, kierzy chcieli sie strzylać ło ta Polsko. Podzielilech ich na sekcje, plutony... I dali żech namowioł inszych za tom Polskom... W Godni Świynta w 1918 roku, jakech wołoł do ludziów, co trza Polszcze przoć, stoło wele mie sześćdziesiynciu grynszuców¹⁵, z karabinami i handgranatami... Łostatek niymieckich wojoków walił śniygem w łokna gasthausu... Nale co to dało? Nasi ludzie sie niy boli. Przyśli... Sala była pełniuszko... Suchali mie, pierzinie, suchali... Nojlepszy mityng, na jakim żech agitowoł za Polskom.

Na bina włożom grynszuze i łobtoczajom powstańca. Oma wylynkano stowo.

POWSTANIEC:

Jeszcze lepi było, kej Nymce wyłonaczyły dupny wiec we Suszcu dlo Polokow, po polsku. No jo tam poszeł, we sali łu Badryjana to było. Rosprowioł hań i namowioł za Nymcami jakisikej wojok. A jo godoł ino ło tym, co Polska nom przaje i żech wygroł. Ludzie mie poparli i wygonili tego łonego wojoka z jego kamratami. Farorz Pampuch som, pieronie, citnoł, bo sie boł, co go wyniesom... Wiele by szło ło tym godać... Jeronie...

OMA:

Wiyom, łojciec, żeś jeszcze kupa tych wieców wyłonaczył...

POWSTANIEC:

Prowda...

OMA:

Tyś i sondów sie niy boł... Dyc cia w Mikołowie stroszali, co cia zamknom w hereszcie skuli tego, coś sprowił¹⁶ trefiyni¹⁷ pełowioków na grubie Brada, we cechowni...

POWSTANIEC:

Prowda prawisz, dziołcha...

¹⁵ Członkowie niemieckiej formacji zbrojnej, Grenzschutzu

¹⁶ Zorganizował

¹⁷ Spotkanie

OMA:

I jużaś polsko władza żeś tukyj skłudzoł. Dyc w 1918 roku, w grudniu, zrychtowołeś z inszymi kamratami Rada Ludowo w Warszawicach, kerej żeś łostoł prezesym...

POWSTANIEC:

Pra, szli my łod chałpy do chałpy i sbiyrali datki na łodbudowa Polski na Górnym Ślonsku.

OMA:

I tak sie zaczyno przygotówka do powstania...

POWSTANIEC:

Spomino mi sia, kej my lipy sadzili...

OMA:

A skisz czego, łojciec?

POWSTANIEC:

Kożdo lipa była kej powstaniec, kery szeł walczyć ło Polsko, była blank piykno i młodo... Fajniście, gryfne synki kciały sie prać ło swoboda, ło prawo do zocnego życio tukyj, na swoji ziymie...

OMA:

Poczkej, łojciec, cosikej ci poczytom... Ło tym żeś mi erklerowoł, kej byłach mało – skond sie hań te lipy wziyny... Piszom ło tym w „Powstańcu”, takim starym cajtungu, kery żech niydowno znodła... Poczkej, kajsikuj tukyj żech to ciepła... Jezderkusie, podziwejcie sie, cheba sie traca...

Oma sznupie w szlufłodzie.

OMA:

Mom!

Oma łotwiyro cajtung, poprawio bryle i czyto...

Powstaniec zamor, niy ruszo sia...

OMA:

W łońsko niydziała łodbył sie we Woszczycach, w krysie pszczyńskim, szumny fest sadzynio pamiontkowych lipów w siedymnasto rocznica historycznyj chwile słożynio przysiyngi bez dwustu powstańców na rynce komyndanta Pisarka. Podzioło sie to genau 3 kwietnia 1919 roku w lesie wele Zgonia na

*Chlyburadzie. Siedymnoście lot tamu nazad dwustu powstańców z rejonu VIII
POW Królówka ło północy skłodało hań przysiynga przonio Polsce.*

Oma łodkłodo cajtung, zdyjmuje bryle i przeciyyro łoczy.

OMA:

Łojciec, jo to pamiyntom... Wzionesz mie, swoja cera, pokazowolesz wszystko – kaj żeście przysiyngali. Spominom se to... Wielu hań fanów niyśli, a ludzi-sków z całego krysu naściongało... Starosta, fojty, organizacje i chóry, kapele i muzykanty rostomajcie... Godali, grali i śpiywali ło tyj Polsce, co ło nia walczyli... Co miała festelnie przoc Ślonskowi i Ślonzokom, pierzinie... Wierzyliście, co tak bydzie, i chwala wom za to, coście sie biyli ło nasza przyszłość...

Oma spoziyro na powstańca.

Stowo i wyciongo ku niymu rynce kej jaki mały bajtel, cececzka do łojca.

OMA:

Łojciec, dyć my do kupy te lipy sadzili... Spominosz se to jedna, tako krzywo, tyś mi jom pomog do dziury wsadzić i zakopać... A potem tako szuuumno sie srobiła...

Bina sie zećmiła. Oma stoi, niy dycho, ino stoi.

*Powstaniec tysz stoi, nale kej dońdzie ku niymu grupa powstańców,
łobrući sie ku nim, a łoni obtoczom go kołem.*

POWSTANIEC:

Karbidki my mieli, pamiyntom. Cima było... A my hań na Chlyburadzie we dwustu chopa stojmy. I przysiyngomy Polsce przoc...

*Powstaniec czyto rota przysiyngi, reszta za nim powtarzo.
Rynce wyciongnione. Powstaniec dowo fana jednymu z grupy,
łon bydzie przewodził. Żodyn nic niy godo. Grupa słaźi z biny.
Oma cołki czos dziwo sie na to z boku. Siado. Powstaniec stoi.*

OMA:

No ja, prawda, znom to... Prawiłeś ło tym łonym niyroz, łojciec... Ta przy-siynga łobserwowoł niymiecki konfidynt, wojok Grenzschutzu ze Zazdrości, pra... Judosz jedyn, pierzinie...

*Na bina włazi grynszuc, stowo kole powstańca, dziwo sie na łonego,
marszczy brwie... Stojom chwila, mierzom sie wzrokiem.*

OMA:

Nale psinco ci srobili te chachorski podciepy... Łucyjkże do lasa...

Powstaniec gibko ślazi z biny.

OMA:

A nos, lasoków, tak gibko niy znojdóm, pierzinie... Lasy tu u nos szumne... Tosz cie mogli szukać i szukać...

*Grynszuc rozglondo sie, udowo, iże czegoś szuko,
i ślazi z biny z tej strony, kaj na nióm włoż.*

OMA:

Gównó znodli... Ani za piyrszym, ani za drugim, ani za trzecim razym pod Anabergym... Niy dali rady nom, Polokóm. Przy plebiscycie jusz my wiedzieli, co ta Polska za niyskoro do Królówki i Woszczyc przidzie. A te niymiecki chachory, kierzi nos niypoważali, se stond póńdom. My ino chcieli być na swoim, a niy coby cudzi durch nom roskazowali... Dyć my tu gospodarzymy, tukyj na Górnym Ślonsku, pra?

Oma wyciongo heft z szuflody.

OMA:

Łojciec, jo to wszystko spisała, coby ludzie wydzieli i coby niy zapodzioli pamiyńci ło was, powstańcach... Ja, prawda, wojna to je przeklynty czos, nale przyłazi tako chwila, co sie inacy niy do pedzieć tym łonym, kierzi nami poniwyirajom... To było, minyło... Nale ludzie winnowaci wydzieć, cza-
muście sie prali ło ta Polska, kiero Ślonskowi i Ślonzokom przoć miała, pra?

Powstaniec kiwie gowom i ślazi z biny.

Oma zapolo świeczka, zećmiywo sie leko.

Oma siado i dumo.

OMA:

Mój łojciec był zamynczony. Musioł se som grob wykopać... Jezusie Nazaryjski!!! Niymcy, kierzy tu wylżyli w 39, łoni to wylonaczyli... Ludwik poszeł s Królówki ku Wyrom, poszeł z tymi chopami, co na Chlyburadzie przysiongli bie sia ło swoboda... Chycili łonych... Bili, kopali... Bez miłosyrdzio... Niy-mcy jich katowali... Łojciec wykopać se grob musioł... Podpuszczali go: „Zawo-
łej Heil Hitler, tosz cia puszczymy!”. Ludwik wiedzioł, co go i tak łubijom... Ryknoł: „Niech żyje Polska” – a te bezbożniki przestrelili mu nogi, pota rynce. A gowa rozwalili kolbami... I ino go przyciepli zymiom. Skłudzili my go pota i pochowali na kirchowie we Woszczycach.

Cisza. Oma zdmuchuje świeczka, wszystko gaśnie.

Kej sie zapolo światło (blysko), Oma klynczy, rzyko.

Powstaniec podnosi jom z klynczek. I przytulo.

Przaje, jak Polska Ślonskowi miała przoć...

Wojciech Szwiec

*Jak głupio czyni człek,
co z kałuży pije,
Nie widząc fontanny,
która w domu bije.*

Angelus Silesius, 1675

BINA PIYRSZO

*Na leżance siedzi Roman, jest to chop trocha glacaty, trocha rubawy,
trocha do żodnego nie podany. Kole 50 lot stary.
Roman siedzi przed telewizorym, trzimie w pazurach pilota i cyko.
Kawa już wypił, cygaretów nie kurzy, to mu sie trocha mierźnie.
Do izby włązi baba kole 50 lot staro, ale jeszcze dość fajno.
Idzie pedzieć, że jest jeszcze 50 lot młodo, mianuje sie Aniela.
Tapczan, abo leżanka, stoi w izbie naprzeciwko telewizora.
Pomieszkani je tak zbudowane, że widać łokno i kawał placu za łoknym.
Widać droga, po kierzj roz za jakiś czas jedzie auto, i chodnik,
po kierzj łożom ludzie – dość czynsto z psami, kiere sie czasym zatrzymują,
żeby sie wyjść. Nojlepiej, jakby zamiast łokna projektowano tu przodziej nagrany film.*

ROMAN:

Nic nie grajom w tym telewizorze. Durś yno ło tych warszawskich gównach,
kiere im z omsów i gulików do Wisły wybiło.

ANIELA:

To pocykej yno.

ROMAN:

Jedno i to samo...

ANIELA:

Widza, że ci sie mierźnie, idź sam do garażu abo do pewnice.

ROMAN:

Na wieczór pońda, nie byda piwa pił przed połedniym.

Loroz pokazuje na telewizor.

ROMAN:

O! Wejrzyj ino! Zaś tego Gorola pokazujom, co z naszym, ślonskij, listy szartowół do syjmu. Szakieciorz!

ANIELA:

Zaczym żeś poszeł na pyndzyjo, godołeś, że to dobry chop.

ROMAN:

Bo powiadoł, że nie zawre żodnyj gruby, a jo chcioł pyndzyi na Bolesławie doczkać, a nie smykać się po Budrykach abo Wujkach. Terozki mom to w rzici.

ANIELA:

Gruba to nima cołkie życie, znojdź se jakiesikej zajyncie, można jako robota. Łazisz zmierzły po chałpie i mie yno nerwujesz. Tu mosz cajtung osiedlowy.

ROMAN (*zły wyciągo rynka i chyto tyn cajtung*):

Dej ta hadra. (czyto): „Przy Plantach”? „Gazeta osiedlowo” zmiyniyli miano?

ANIELA:

Roman, pojakimu?

ROMAN:

No dyć nazywała sie „Trzidziestka”.

ANIELA:

Dwa lata tymu nos zdekomunizowali, a ty sie dziwosz? Nima już osiedla Trzydziestolecia PRL!

Biere krziżówka ze stoła i wychodzi z izby.

ROMAN:

Nima? I skuli tego cajtung tyż zdekomunizowali... i niy śmiy sie mianować „Trzidziestka”? O jeronie! I co łoni tu piszom? Wybory do rady osiedlowyj – szukomy nowego prezesa naszego osiedlo? Co za ciule! Czytałaś to, Aniela?

ANIELA (*z daleka*):

Nie słysza, co godosz, jestech w haźlu!!!

ROMAN:

Bydymy mieć sam na placu wybory! (czyto durś): Na szajsplacu za osiedlem nie bydom budować garaży. O, jest krziżówka, można bydzie łatwo.

ANIELA (*wchodzi*):

Pojakimu nie bydzie garaży?

ROMAN:

Czy jo wiy... Ekologowie sie nie zgodzili.

ANIELA (*siado kole Romana i chce mu wziąć gazeta*):

Dej mi tyn środek.

ROMAN:

Co ci sie ło te garaże tak chechle?

ANIELA:

Nie. Wcale, rada bych wiedziała.

ROMAN:

Jezderkusie, tak tu pizsom, richtik ekologowie sie nie zgodzili skuli tego, że psy z bloków nie bydom miały kaj chodzić srać i ten szajsplac, kaj miały stoć garaże, jest dło tych psów pierońsko ważny.

*Łoroz słyhać ujadanie psa i słyhać, jak po siyni schodami na dół
leci jakiś kundel i robi pierzynowe larmo.*

BINA DRUGO

*Roman siedzi przed telewizorym i ziywo, kole niego Aniela durś sztrykuje.
Z telewizora słyhać głos jakigoś polityka, kiery tuplikuje,
że skuli LGBT terozki chcom bajtłom robić seksualizacjo.*

OFF:

„Nie możemy się zgodzić na seksualizację naszych dzieci przez środowiska LGBT”.

ROMAN:

Bydom sie kochać bajtłom macać, skuli tego zesmolonego LGBT bydom same pederasty i zboczyńce.

ANIELA:

Ja. Ty sie na tym prawie znosz?

ROMAN:

Toć sie znom. Wejrzyj se na swoigo synka, chciałybyś, żeby mu wtoś tuplikowoł, kaj sie mo macać? Doczkej, aż Marcinek przykludzi jako lipsta. A nie chcesz wiedzieć, co zrobia, jak łona sie bydzie mianowała Łukasz abo Tomek!

ANIELA:

Musza ci pedzieć, że twój synek mo już dziewiynтноście lot i psinco ci do tego, jak sie bydzie mianować jego frela. Jestech ciekawo, kaj łon sie zaś smyko!

Za oknem widać zbliżajco sie do bloku postać – to Paulek z epom z Tesco.

Paulek włazi do siyni, klupie, a potym odmyko drzwiyrza jak u sia.

ROMAN:

Cześć szwagier, dobrze, żeś już prziszoł, bo sie tu zaczynomy z Anielom wadzić.

PAULEK (*od progu*):

Roman, cześć! Czytoleś cajtung?

ROMAN:

Ja. Łostatni roz!

PAULEK:

Pojakimu?

ROMAN:

Bo nazwa zmiynili i sie skuli tego gorsza.

PAULEK:

To je mało ważne. Ogłoszynie je ważne – czytoleś?

ROMAN:

Ja.

PAULEK:

No i...?

ROMAN:

I co?

PAULEK:

Ty żeś jest nojlepszym kandydatym na szefa rady osiedla. Mosz dużo czasu, mosz prezencja, robiłeś na grubie i jeszcze dodom, że dobry z ciebie katolik, bo twój łojciec był kościelnym.

ROMAN:

Czy jo wiym! Aniela, można tyn twój bracik dobrze godo?

ANIELA:

Łód kiedy wyście som takie kamraty? Paulek, ty mosz chyba we gowie nasrane i nieuklackane.

ROMAN:

Dej yno tyn cajtung, można tam piszom, kaj sie trza zgłosić.

PAULEK:

Dyc jo cie już zgłosił, bo wiedziolech, że sie zgodzisz. Łostana szefym twoigo sztabu wyborczego.

ANIELA:

Ale to trza mieć trocha pojęcie o świecie, a tyn cep yno przed telewizorym siedzi. Romek, przeczytołeś można kiedy jako książka? Jak żech je z tobom od dwudziestu lot, toch cie jeszcze przy czytaniu niy widziała.

ROMAN:

Toć, czytolech tako nie za rubo – „Puc, Bursztyn i goście” – i musza ci pedzieć, że richtik nie była ciekawo. Jo mom za to szeroko wiedza o świecie, bo oglądom telewizor.

ANIELA:

Mosz poglądy polityczne choby urwany na borsztajnie kromflek: gupie, zacofane i żodnymu do szczynsio niepotrzebne. Siedź se, chłopku, lepij w domu. Nie musisz sie topląć w kałużach i marasie lokalnyj polityki.

PAULEK:

Ciszewski tyż sztartuje! Już plakaty wiyszol!
„Dobro osiedla twego tylko w rękach Ciszewskiego!”. Tak napisol!

ROMAN:

Bernat Cipa sztartuje?

PAULEK:

Nie godej na głos! Jego łojciec zmiynili nazwisko na Ciszewski jeszcze w latach dwudziestych.

ROMAN:

Jakby Poloki tu sam nie przyszli i nie zrobili porządku, to w co drugij chałpie by Cipy miyszkali na przemian z Chujami!

ANIELA:

Jak ty szpetnie godosz!

ROMAN:

Jo swoje wiym, mie to tatulek godoł. Jak na Gniotku łojce miyszkali, to żeby dońś do Cipów, trza było przyńś bez Chujowe pole. Poloki prziszły, nauczyły ich normalnyj godki i już żodyn nie chcioł sie tak mianować. Koždy zmiynioł.

ANIELA:

Co ty to opowiadasz za stare pieczki!

ROMAN:

Bo Bernat Ciszewski vel Cipa to dziad zesmolony i cygon pierzyński! Jaa... a do tego komunista!

PAULEK:

Możno mu utrymy kichola? Jak wygrosz wybory, to pokozesz mu, wto na tym osiedlu rządzi – dziad eli jego tasza.

ROMAN:

Toć! Zarozki ida sie zapisać, byda kandydatym opozycyjnym, zrobia tu sam porządek.

ANIELA:

Doczkej, doczkej, jak cie kole szynku po pysku wyszczylajom, to ci przyńdzie.

ROMAN:

Dyć sama godosz, że musza mieć jakiesikiej hobby. Jo we bloku pultów chować nie byda! Marki we klaserach tyż mie nie ciągnom. Jo musza działać, i byda działał. Jak trza bydzie, to byda jak tyn nowoczesny poseł, kiery sejmik oddoł za wysokie stanowisko! Byda jak Lis! Uwidzicie!

PAULEK:

No to terozki jako działacz musisz zrobić analiza elektoratu.

ROMAN:

Mom ich w rzici. Łoni majom na mie głosować i szlus. Jo nie byda nic analizować, bo nie poradza.

PAULEK:

Beztuż musisz mieć swój wyborczy sztab. Jo byda twoim asystentym, a Aniela bydzie malować plakaty. Aniela, co tak na mie filujesz? Dyć pomóż swojemu chopu, sam żeś przyrzykała przed farorzym, że na dobre chwile i złe. Terozki idom te dobre!

ANIELA:

Jo sie tego właśnie lonkała.

ROMAN:

To do roboty. No a co z Marcinkiyem, dyć łon tyż może nom pomagać! Na kogo mom liczyć, jak nie na swoja familio?

ANIELA:

Możno zaroz przidzie i nie bydzie sie długo smykoł.

PAULEK:

Koždy bydzie miał coś do roboty. Terozki trza pomyśleć, wto na ciebie bydzie welowoł. Na naszym osiedlu miyszkają pospołu i Ślązoki, i Gorole. Ślązokom musisz godać tak, żeby sie czuli jak u siebie. Dyc to je jeich haimat i sami muszom zadecydować, jak bydzie sie żyło na tym osiedlu, i żodyn tego za nich nie robi. Jednak Gorolom musisz godać, że som dlo społeczności fest ważni, a to, co robiom i godajom, mo wieli sens. Musisz im sie przychlybić i pedzieć, że Polska to jest bardzo dobry kraj i tuki tyż je Polska, tako Polska, richtik Polska od Hanyśów i od Goroli.

ROMAN:

Jo dobrze wiyom, wto bydzie na mie welowoł! Koždy sam! Dyc żodyn nie chce, żeby tyn zesmolony, pierzyński ormowiec Cipa wygroł!

ANIELA:

Jo sama sie jeszcze zastanawiom, czy na ciebie welować. Na pewno za tobom bydom Paulek i Eelis, te dwa chopy, co miyszkajom nad nami, Krawczyki z naprzeciwwka i Potyloki z drugigo sztoka. To chyba jedyni z naszymy siyni, kierym jeszcze żeś niy naubliżoł. Już terozki moga pedzieć, że Walino z trzecigo sztoka na pewno za tobom nie pońdzie, boś kopnoł do rzici jeji psu.

ROMAN:

Anielko, dyc wisz, że jo nima rod tym zasranym psom.

PAULEK:

Ludziom trza pedzieć yno to, co sami chcom usłyszeć.

ROMAN (*skruszony*):

To wom powiyom, że nie zagłosujom na mie tyż: Cila z drugigo sztoka i Faruga, tyn z trzecigo bloku. Ryczolech po nich, że ich psy srajom po chodnikach i pedzieli mi w łostudzie, żech je gupi i nima, żech miłośnikim zwierząt...

ANIELA:

Ja, ponoć żeś starego Farugi gonił i chcioł w niego tym gównym ciepać! Całe osiedle o tym godało!

PAULEK:

Beztuż muszymy ocieplić twój wizerunek.

Patrzy za łokno – idzie chodnikiem młody synek. Ciśnie ku siyni.

PAULEK:

O, idzie Marcinek, dopomoże nom.

*Za oknym widać synka w czerwonyj bluzie z kapucom, idzie ku siyni.
Obleczony jest tak, jak sie każde młode karlusy oblykajom, czyli byle jak.
Chnet we antryjyu otwierajom sie drzwiyrza.
Synek seblyko szczewiki i ciśnie ku izbie.*

ANIELA:

Marcinek, puć sam, łojciec musi z tobom godać.

MARCINEK:

Jo nic nie napochoł, pojakimu?

ROMAN:

Synek, chnet twój łojciec łostanie prezesym tego osiedla i w każdym bloku, na każdym sztoku musi wisieć moj bild z mojom gymbom i hasłem wyborczym.

MARCINEK:

Tata, jo cie prosza, nie rób cyrku. Jak jo sie na placu pokoża, tako siara...

ANIELA:

Dej pokój, synek, dyć każdy ci bydzie zowiścił, że mosz takigo ważnego łojca. Weź z meblościanki, tam na wiyrchu je knipsaparat, zarozki zrobimy fotografka.

MARCINEK:

Mama, łosmól tego starego klamora, zarozki mu fajno fotografka zrobia moim mobilniokiym.

PAULEK:

Roman, to idź sie przeblyc w ancug, yno weź wybiglowano hymda i binder.

ROMAN (*wyłazi z izby*):

Dyć wiym, przeca nie byda łąził choby walcman.

BINA TRZECIO

*Siedzom w izbie Roman, Aniela, Marcinek i Paulek.
Marcinek ustawio statyw, a na statywie mobilniok.
Paulek siedzi przy laptopie i durś coś klepie choby na klawiyrze.
Aniela poprawio Romanowi binder, a Roman stoi choby mamlas.
Za łoknym widać porozwieszane byle kaj plakaty wyborcze,
na kierych widać dziób łod Romana.*

MARCINEK:

Jo już je fertig, zarozki mogymy nadować na cołki świat.

PAULEK:

Jo tuki tyż mom pochythane. Roman, na twoim profilu zalogowało sie już chyba cołki osiedle.

ANIELA:

Jeronie... yno nie fanzol gupio. Cobyś jakij łostudy niy narobił.

ROMAN:

Spokojnie. Aniela, jo już je wyluzowany, zarozki im pokoża, wto tu rządzi!

PAULEK:

Pamiyntej, musisz ich tak fajnie cyganić, jak to yno ci z telewizora poradom! Zaczynomy, robi sie nieskoro.To sztart.

*Roman siedzi przed kamerą (mobilniokiym).
Na wiyrchu obleczony w szakiet z ancuga, mo tyż binder,
za to poniżyj pasa mo galoty z owerola, kierych i tak w kamerze niy widać.*

ROMAN:

Witom wos piyknie roztomili miyszkańcy naszego osiedla. Nazywom sie Bedła Roman – znocie mie sam wszyscy. Raduja sie poparciym moich somsiadów, bestuż jestech nojlpszym kandydatem na szefa rady osiedlowyj. Chciołech wom w poru słowach opedzieć mój program, jaki mom. A mom taki (wyciągo kartka i czyto): Chciołbych, coby rada do każdego czynszu dopłocała każdemu lokatorowi 50 złotych. To je program 50 plus. Piniondze te pozyskomy od tych, kierzy majom psy, kiere duś szczekajom na siyni i srajom po trownikach i szczajom byle kaj. Zrobiymy z tym porządek! Każdy

zesmolony psiorz i jego zesmolony pies bydzie musioł co miesiąc bulić nom 200 złotych, a kiery niy bydzie płacił, dostanie mietła i bydzie śmiaoł plac! Zrobiemy z tym porządek!

Paulek macho rynkami, chyto sie za gowa i kiwo ku Romanowi.

PAULEK:

Mioleś przychlybić sie Gorolom, a nie straszyc!! Pieronie! Pieronie!

ROMAN:

Dalij! Uważom, że nasze osiedle jest i musi być otwarte na roztomajtych aulsyldrów i uchodźców, beztuż rod byda wszystkim Gorolom, kiere tu miyszkajom. Zakoża im ubliżać. Bo najgorsze, co może być, to jak sie te nasze Gorole wykludzom nazot w boże strony i przidom Gorole cudze. Musza wom roztomiłe Gorole pedzieć, że tu jest Polska, i po to mój opa walczył w powstaniu, cobyście wy mogli przyjechać na Ślonsk i pedzieć, żeście som w Polsce i żodyn element animalny ani jakiś zesmolony Hanys z ukrytyj opcji niymieckij nie śmij wom ubliżać! Zrobiemy z tym porządek!

ANIELA (szepcze):

Mosz to inaczyj napisane. Jeronie!

ROMAN:

Dalij! Kultura! Za moich rządów nie bydzie malowania po ścianach szpetnych słów. Każdy mo dbać o swoja godka. Nie można używać niymieckich słów! Tu jest Polska! Dzieci nie bydom już sie mianować Brajan abo Dżesika, yno Krzysiu i Małgola. Ślonsk jest polski, jakby tu Polska nie przyszła, to durś każdy by łaził bez Chujowe pole do Cipy, abo i nazot! Polska w sferze kultury nom dużo dała i mogymy z tych łask i dobroci korzystać! I korzystać bydymy. Zrobiemy z tym porządek!!!

MARCINEK:

Tatooo, godosz niy na temat. Wszystko ci sie pomatlało!!!

ROMAN:

Dalij! Kolejno ważno sprawa dlo naszej społeczności to je seksualizacja naszych bajtli i młodzieży. Bloki nasze stojom przy samym parku, w którym rozgrywo sie sodoma i gomora. Mamlajom sie na ławkach, macajom po krzokach. A niykiere baby poseblykane do badykostiumów, bez lato, leżom po próznicy i wystowiajom rzić do słońca! Muszymy tam założyć monito-

ring i durś filować, coby im było gańba! A krzoki musimy wystrzyc, coby sie tam żodyn nie smykoł. Tak obroniemy nasze bajtle i nasze osiedle! Zrobiemy z tym porządek!!! Głosujcie na mie. Bedła Roman!

*Aniela, Paulek, Marcinek trzimiom sie za łepy i nie poradom spokopić,
wto Romanowi tych gupot do gowy nacis.*

BINA CZWORTO

*Siedzom na tapczanie Aniela, Roman i Marcinek. Mody mo otwarto komputra i durś
tam zaglądo. Aniela maluje pazury, a Roman sie jak zawsze nerwuje.*

ROMAN:

Marcinek, kiedy bydom wyniki?

ANIELA:

Tak żeś sie zblamił, a jeszcze na co liczysz?

MARCINEK:

Na razie tu nic nima. Ale tato, tato, doczkej!

ROMAN:

Ja? Godej, godej! Wygrołech eli niy?

MARCINEK:

Raczyj niy. Tu pizsom, że zdobyłżeś dwa głosy...

ROMAN (znerwowany):

Dwa?! Marcinek, Aniela – kiery mie zdradził? Kiery niy głosował?

ANIELA:

Jo musiała coś źle pokryklać.

MARCINEK:

Jo tam był trocha nieskoro i było zawarte...

ROMAN:

Jeronieeee!!! Cipa wygroł!!!

Łoroz dzwoni mobilniok. Załomany Roman odbiuro na głośnogodającym.

ROMAN:

Nooo?

GŁOS:

Czy dodzwoniliśmy się do pana Romana Bedły?

ROMAN:

Noo, a o co idzie?

GŁOS:

Ja dzwonię z Warszawy. Obserwowaliśmy pana dynamiczną kampanię wyborczą, może zechce pan przyjąć zaproszenie i zasili swoją wiedzę i umiejętnościami nasz sztab wyborczy?

Kurtyna.

JEDNOAKTÓWKA PO POLSKU

Dejcie pozōr! Kōnszt yno dlo majorantnych! Roztoliczne sorōnstwa!

Irek Widera

Skuli tego, co akcyjo kōnsztu fōnguje we spōłczyństwie hiphopowcōw, persōny roz za kej frōnkajōm ōszkliwymi ausdrukami. Ōsobliwie idzie dosłyszeć wyraźynia: pierōnie, pierōmbol, psinco, nasarmater, pulok a inksze. Kej ftoś je imfintlich, niech sie zawczasu przitko uszy. Ku tymu bohatory sļepiōm bez cołki czos biyr. Beztōż kej ftoś je fest imfintlich, niech sie zawczasu przitko uszy a zawrzy ōczy.

PERSŌNY (*styknōm same przemianki*):

YNKOT, SHAUOT, VŌNFARA

wszystkie persōny ōblyczōne jednako: jakle ōd ōwerola ze kapucami, bōnte treski, poprzeciyrane galoty ze krokiym wele klina, żarōwiaste, funkel nōwka adidasy; Shauot mo na gowie szyldōwka zwyrtniōno do zadku.

BINA – mikro sztuba we sztokowcu; ańfachowe naczynia – szrankwand, szeslōng, mikry tisz na krōtkich szłapach; zol wyłōżōny panelami bez tepicha; borajstwo choby za Gomōłki. Na fynsterbrecie flaszki, zasuszōno bluma we dornicze, na zolu pociepane bele kaj roztomajte szwory; bajzel choby za Gierka. Yno na szranczku porzōmny adapter, a wszystkie fachy ōd szrankwanda nafolowane płytami ze muzykōm.

*Vōnfara roztopiyrzōny leży na szeslōngu. Szrajbuje coś we hefcie.
Ōtwiyrājōm sie dźwiyrza i do sztuby ze szwōngiym bez klupanio wlazuje Shauot.
Vōnfara ciepie heft za szeslōng.*

SHAUOT:

Pyrsk, Vōnfara, staro pierdoło!

VŌNFARA:

Jo ci dōm pierdoło! Sie ōdezwoł... chop wyzgerny choby woda we szpilōngu!

JYNKOT:

Pie... pie... pie... Pierōmbol! Fōnfafa... fafafa... (we dźwyrzach stowo drugi chop; trzimie żółto epa z wymalōwanōm bożōm krōwkōm; idzie dosłyszeć szczyrkane flaszek). Tyyy... żyyjeesz? Jo... jo... jo...

VÖNFARA:

Jo! Jo bych mioł niy żyć? Chopie! Po jakimu?

SHAUT:

Cołkie dnie w dōma wysiadujesz choby jako ōmka dziewiyndziesiōnt lot staro ze tōm... (strzyło palcami)... No! Ōsteoperōzōm!

VÖNFARA:

Ja, Shaut! Tyś je cołki jak ōsteoperōza!

SHAUT:

Egal! Ōsteoperōza czy inksze pierōństwo! Cwek w tym, co ōd jakiegoś czasu niy idzie cie, Vōnfara, nikaj na sidlungu trefić.

VÖNFARA:

Ja! Ty, Shaut, sie lepij niy ōdzywej. Sōm rajzujesz koždy dziyń podug jednego mustru, jednako choby kōń ōd starego Czymyki! Sztujc yno: arbajt, ōd arbajtu do Kusia, ōd Kusia do muter poobiadować, a na wieczōr do tego lebra Kyjzy poszpilać na kompie abo do tyj szajdowanij Nyski ze Swadźbōwki poszpilać na czym inkszym...

SHAUT:

Tōż terozki smolisz, Vōnfara, kej praśniynty! Można i mōm cołki dziyń napolowany, nale miarkuja przy tymu, co je louz na sidlungu. A już fest osobliwie, co sie wyrobio u kamratōw ze manszaftu.

JYNKOT:

No a jo... jo... jo cie tyyyż cho... ooo... pie niyyyy wiiiiiduja. Mo... mo... mo... mosz yyyyyfner?

SHAUT:

Na pierōna ci yfner do biyra we biksie?

JYNKOT:

Joooo dziisiej fla... fla... flaszkoowee lajstnōł.

SHAUT:

Jynkot! Mosz ty wszystkich dōma? Flaszkowe piynć czeskich drogsze ōd takigo we biksie!

JYNKOT:

Ja... aaa. Mo... osz reeeecht, nale fla... fla... flaszkowe stoło we aaa... aisszranku!

SHAUOT:

Ty sie piżnij w dekiel, Jynkot! Mōmy nowymber! Kebyś zaczōn ślepać tyn biyr na placu, toby ci ôd szlagu pysk do flaszki przimorz!

JYNKOT:

Na... na... na drugi roooz sōm sie za... za... zaleecisz dooo Bieeedry! Ciu...
ciu... ciu...

SHAUOT:

Dowej tyn biyr, a niy ciurlikej mi sam choby ćwiyrbel!

JYNKOT:

A yyyfner?

SHAUOT:

A na pierōna ci yfner?! Zymby mosz? A ty, Vōnfara, skoż mi yno, cōż tak szkryflosz?

VŌNFARA:

A tam! Psinco niy szkryflōm!

SHAUOT:

Vōnfara! Można mōm pora kilo za tela, nale ślypia mōm dobre! Heft żeś pociepnōł wartko za szeslōng, kej my wlawowali. Nale tyn filok cie wyzdradził... Chopie! Jo zech cie niy widzioł ze filokiym w gorści, ôdkōnd cie wyciepli ze arbajtszuli we dwatysiōncznym drugim!

VŌNFARA:

Tyś je ale świtniōny, Shauot! Ja! Jak jo we dwatysiōncznym drugim już kłōd piyrsze rymy, to ciebie jeszcze fatry do szuli ôdkludzać musieli.

SHAUOT:

Ciebie się, Vōnfara, rymy ze rymōm pofyrłały!

VŌNFARA:

Dej pozōr, Shauot, cobych nie musioł spōminać, za kim na placu wołali Ciōmpa!

SHAUOT:

Wartko przestali, kej poczuli siyła szlagu (*dziwo sie bez chwilka na zaciśniyn-to prawica*)... Ô! A lewyj to jo sie sōm boja. Fto sie niy pochtōł zawczasu, mioł tref ze jednōm eli drugōm.

JYNKOT:

Jo... jo... jo tyż to wiidzioł!

SHAUOT:

O! Jynkot tyż to widzioł!

VÖNFARA:

Nale co?

SHAUOT:

No! Tyn heft, kery terozki leży zamotlany we pajynczyny za szeslōngiym!

VÖNFARA (*bez chwileczka woży, co ôdpedzieć*):

Heft?

SHAUOT:

Niy rōb się gupim, Vōnfara! Niy ma cie na sidlungu, dekujeś sie dōma, unikosz kamratōw. Co je louz? Zaś cie naszło?

VÖNFARA:

Naszło... (*wezruszo ramiyniami*) A eźli?

SHAUOT:

Jerōnie, Vōnfara! Tyś je ôporny choby Jynkot na robota! Godej ofyn!

JYNKOT:

Nooo, po... po... pochwool sie. Ōoonaczysz co naaa JuuuTuba, pra? Zee Ca-auberym?

SHAUOT:

Ja! Wy tak zowdy po cichuśku, nic wielgigo, a za chwila... Dup! I szlagier fōn-guje bez haltōngu bez pora miesiyncy! Wiysz... tyn ôstatni wasz kōnsek durchboruje mi mōzgownica! (*napoczyno gymbōm udować szlagcojg*) „Niy mōmy krzideł i beztōż niy furgōmy. Niy mōmy krzideł, blank nic niy mōmy. Niy mōmy aureole i szat biołych niy mōmy. Sztyjc sie ôbalōmy, i sztyjc zaś stowōmy. My sōm ludzie, niy anioły, choby jo, jo i ty”... Jerōnie! Za! Gry! Fni! Ste!

JYNKOT:

Ja! To bōł ale sro... sro... srogi szlagier!

VÖNFARA:

Weż ustōń, Jynkot! To bōło za starego piyrwyj! Cauber sztudyruje, a jo... Jo mōm terozki blank fryszny ajnfal...

SHAUOT:

Co ty godosz? Ōszydzisz nasza muza! Pierōmbol! Chopie! „Klangoholika” to je przeca Twōj bajtel! Piytnoście lot nasarmater pōndzie? Weż ustoń! A Cauber co na to?

VÖNFARA:

Cauber widziołech ôstatnio bez lato! Cis wysztigłowany na wielkie ze takōm jednōm frelkōm...

JYNKOT:

Niyyy wierza! Ca... ca... cauber terozki do ko... ko... kościooła lazuje?

VÖNFARA:

Kebyś uwidzioł ta frelka, to tyż byś sie nawrōcił! Padōm wōm. Warto grzychu!

SHAUOT:

Niy wierza!

JYNKOT:

Joo tyż!

SHAUOT:

Niy wierza, co chycieś sie czegoś inszego! Klangoholika fōnguje bez piytnoście lot! I ty chcesz to terozki pociepnōnc? Wyzdradzisz kamratōw a nasza muza?

VÖNFARA:

Niy! To yno taki ainmal hib. Nale trufōm, co bydzie ôd tego lepszyjszy geld!

JYNKOT:

Ja! Sro... sro... srooogi?!

SHAUOT:

Przestōn fandzolić, Vōnfara, bez kwiotki, yno godej ofyn, cōżeś snokwił!

VÖNFARA:

Gañba mi trocha. Bydziecie sie potym lachać sy mie.

SHAUOT:

A wela my sie znōmy, Vōnfara? Bezma ôd kolybki. Jo niy ma przeca pośmiywny...

VÖNFARA:

Nō dobra!... Kōnszt rychtuja!

SHAUOT:

Ha ha ha!!! Posmoliło cie już na fest, ja? Ty? Kōnszt?

JYNKOT:

Ja... ja... jaaak tyn... Feeedro?

VÖNFARA:

Fredro! Spōmniało mi sie ô tym na ôstatni driker...

SHAUOT:

Ja! Zicołeś sie sam we tyj sztubie i ôroz ci sie spōmnioł Fedro?!

VÖNFARA:

Fedro?! Fedro, niy Fedro, Shauot! Tyn, co szrajbnōł „Zymsta”!

JYNKOT:

A niyma... Ma... Makuula to szra... szra... szrajbnōł? Czy... czy... czytoołech...

VÖNFARA:

Makula szrajbnōł „Pomsta”, a Fedro te piyrsze!

SHAUT:

Doczkejcie, chopy, yno, bo coś nôm sie ta godka robi fest wodnito! Mio-
leś nôm, Vônfara, wytuplikować, po jakimu ci wpod do gowy tyn pieroński
kônszt?

VÔNFAIRA:

Skiż tego, co musiolech wysiednônć ze busa za lasym na Kamiônce za jscaniym.

SHAUT:

Jo cie zaroz pizna, Vônfara! Możesz mi wyklarować, co mo jscanie na Ka-
miônce spólnego ze Fredrôm?

VÔNFAIRA:

Ze Fredrôm? Dej pokôj tymu chopu! Mie przy tymu jscaniu na Kamiônce sie
spômniało, co ôńskigo roku, jakoś dwa tydzie przed Godnimi Świyntami,
trefilech do tyjatra...

SHAUT:

Ja... Do tyjatra?... Weż ustôn, chowie! Pogrônżosz sie coraz bardziej!

VÔNFAIRA:

Côż ci to taki dziwne?

SHAUT:

Ty a tyjater? Ja! Yhm! Pryndziej modroka Pestki we szalu Gôrnika by szło
trefić!

VÔNFAIRA:

Niy bydź podśmiwiny, Shaut! Bez cufal hań trefilech! Suche! Matoush...
Wiysz kiery?

SHAUT:

Tyn lajermôn, co hań downij przeônaczył szlagier Jona Kyrcka na rap?

VÔNFAIRA:

Tyn sôm! To ôń terozki ônaczy nowo nuta. I ôdezwoł sie do mie bez messa.
Umyślił sie mieć roztolicznych autorów. No i zeszli my sie cuzamyn u ônego
na Paderewie...

SHAUT:

Doczkej yno... Jako autorów? To Matoush niy poradzi szrajbować?

VÔNFAIRA:

Poradzi, nale... To mo być płyta nagrano yno blank po naszymu. A wiycie, po
mojemu to Matoush szrajbuje tak bardziej po wasserślônsku. U ônego to tako
bardziej gwara ślônsko niżli echt godka.

JYNKOT:

Jaaa! Naa kneefel pa... pa... pado guuzik. Jooo to wa... wa... wartko wy... wy... wychcił.

SHAUOT:

Jak ty, Jynkot, niy ustoniesz nôm pauzować, to braknie biyra, zatym sie do-wiymy, kaj tyn pieroński tyjater ôd Vônfare!

VÔNFAARA:

Ôba mi sztyjc pauzujecie! U Matousha do szwortyj nic my niy wymyndy-kowali. Za to kista tyskigo roz dwa sie rozeszła. Ftoś zaszoł do skłodu, ftoś ikszy dobył z rukzaka jakoś parfinowano gorzałka, a mie to niy podłazi. Ma-toush siod do klawiyr a i ôdfurnôł na szlag. Zista a Karasol zaczi zolycić we ece, Jon śpiywać te swoje blusy, a Achim ze piyrszego Mauser⁴³ coś zakurzył i zaczi deklamować Majakowskiego. Posiedziotech śnimi jeszcze chwilk a i sebrołech sie na cug. Ôd Paderewy na bana doś daleko, a mie już na smynto-rzu na Francuskij po tym biyrze zaczi ciś na wyntil.

SHAUOT:

Ty zaś ô tym jscaniu! Trza bôło...

VÔNFAARA:

Ja! Na kerchowie pod dynkmalym?!

SHAUOT:

Do bibliotyki trza bôło wlyż ze jscaniym...

VÔNFAARA:

Ja! Do bibliotyki?! We ôwerolu? Czyś ty ôcipioł, Shauot?

SHAUOT:

A cōż to takigo? Taki jedyn w ancugu pod bindrym maratōny loto. Po moji-mu taki ôblyczōny na szportowo mo prawo lazować we ôwerolu do bibliotyki, pra? Godej, Vônfare, po jakimu żeś do tego tyjatra trefił?

VÔNFAARA:

Dyć ci klaruja bez ôstatnie piyńć minut! Iże mie jscanie brało i wiedzio-łech, co na bana na zicher niy zdōnża doniyś, a na Francuskij a Jagiellōńskij same stawiynia. Żodnych krzokōw. Naôbkoło yno same latarnie i tulma na busszteli. A ku tymu mi sie zdo, co jeszcze kamerujōm wele tych wszystkich srogich amthauzōw. Padōm wōm, gańba puloka dobywać, a jeszcze wiynk-szo popuścić do galot. Tōż krocza wartko, skurczōny choby mie heksynszus trefił. Nale ôto dziwōm sie, po lewicy... co mōmy?

JYNKOT:

De... de... Decyymber Palac!

VÖNFARA:

Hipnoza! A hań gryfny wychodek! Urial, ausgus, woda, mydło. Same luksusy. Ciepło a wõnio. Wiym, bo my ze Cauberym hańdownij roz za kej lazowali do Hipnozy na sztudyntki filować.

SHAUOT:

Hipnoza! To wiym kaj! Wele tego epnego farorza!

JYNKOT:

Fa... fa... faroorza?

SHAUOT:

Tyn taki srogi dynkmal na pøjstrzodku placu. Chop w dugich szatach dziwo sie na stawiyne...

VÖNFARA:

Tyś je ale gupi Shauot, ja! Dyc to je Korfanty!

JYNKOT:

Kooorfanty bõł fa... fa... fa... farorzym?

VÖNFARA:

Jakim farorzym?! Zawrzyj sie yntlich, Jynkot!

SHAUOT:

A kiery normalny chop lazuje w takich dugich szatach? Yno farorze a prince za starego piyrwyj. Nale tyn ôd dynkmala na żodnego princa niy ma podany.

VÖNFARA:

Artysta, kiery tyn dynkmal ôbcyrklowoł, usõndził tak pokozac Korfantego i szlus!

SHAUOT:

We szatach? Te! Korfanty bõł LGBT?

VÖNFARA:

We takim dugim mantlu, niy szatach! Chopie! Mie to egal! Można to je yno tako alegoryjo? Wiysz jako? Można wyrobiocz chcioł ukozac, co Korfantomu lang zima bõło, kej õnego wywieźli do tyj Berezy... A można ganz ańfach tyn rzeźbierz niy poradził do porzõndku galot a strzewikõw wyõnaczyć i beztõż woloł je schrõnić!

SHAUOT:

Smolić chopa! Ty mi sam lepij godej, co z tym tyjatrym, a niy bydziesz sie terozki zastawioł jakimś dynkmalym!

VÖNFARA:

Toż suchej a sztyjc niy pauzuj! Cisna wartko bez tyn plac dyrekt ku Hipnozie, klamkuja, a tukej zawarte na sztyry spusty! Pierõna kandego! Filuja

wartko na wszystkie strōny i widza, co tulma gōwnym wyńściym wlazuje rajn do Decyember Palaca. Aby tela! Padōm, cisna hań, bo we takim srogim stawiyniu musowo bydzie jakiś ôtwarty haździel. Wartko po słodach na wiy-
rch, hań, kaj lazurom te wszystkie ludzie. Dalij na prawica. Przeciskōm sie bez ta tulma. Smolić, co jo jedyn we ôwerolu, a inksi w mantlach. Ciśnie mie jak pierōn, jeszcze chwilka i popuszcza. Filuja za dźwierzami ôd haźla i bez cufal wlazuja na jakiś sztand. Sztuchōm sie rantym plata ôd szrajbtisza we pacharzina, czy pacharzinōm ô plat. Egal! Na zol ślatuje pora buchōw, a jo prōbuja jakoś wyzgernie to, co jeszcze furgo, pochytać. Jedyn buch chytōm nale niygramotnie i prawicōm ściepuja przy tymu trzy inksze. Ku tymu świtōm te, kiere pospadōwały przodzij. Tako frelka we strzewikach na wysokim kromfleku ô mało wila niy ôbklojzła, kej nastōmpiła na jedna. Za sztandym tyrczy taki chop we siwym cwitrze i ze srogōm machōm buczy coś, co mōm sie dować ale pozōr. A dyc jo sztyjc dowōm pozōr. Jak jo bych sie niy dowōł pozōr, to downo by mie jakie chachary pogōniły. Już mōm chopu frōnknōńc jakim ausdrukiym, nale akuratnie bez cufal widza dźwierz a ôd wychodka.

SHAUOT:

A jo dalij, Fōnfara, niy widza, kaj tyn tyjater!

VÖNFARA:

Doczkej, chowie. Już widza te dźwierz, już chytōm za klōmka, aże ôroz czuja na plerach czyjaś gorść. Zwyrto sie dopolōny i widza srogigo glacatego chopa we brylach, kiery chyto mie za ramie i kludzi ku takimu ôkiynku. „Pan zostawi kurtke w szatni”, pado. Dziwōm sie na chopa. Piyrszy roz ônego na ôczy widza, nale dwa razy taki jak jo, gorści choby pecynki, a macha lagramyncko, kejbych ôny mu fatra cyjōm zatrzas. Wadził sie z takim niy byda, pitać tyż ciynżko, bo mi zastawił cołki tyn wōnski antryj. Haździel coroz dalij, bo chop mie ciśnie ze szwōngiym przed sia ku tymu ôkiynku. Myn-
dykuja wartko, co je sam tak rychtig louz. Filuja naôbkoło. W cołkij siyni wōnio fest roztolicznymi parfinami, a ôdy mie ciōngnie biyrym, cigaretami a przepocōnym treskiym. Jakeś chop w szaketach pod bindrami, gryfne baby ôblyczōne w szumne klajdy choby na niydzia. Żodnego larma, szkamarajōm yno, witajōm jedyn drugigo, rozdowajōm kusiki, roz za kej forsajōm śmychym. Padōm wōm, zocnie a szykownie choby we kościele na wielkim.

SHAUOT:

Tego niy poradza za pierōna spokopić! Jak idzie dziyń w dziyń lazować we ancugu? Przeca to je fest niyzdrowe. Binder ciśnie na karku, hymda przy

sztulpach lang uciarano i na zicher pacharziny sie poradżōm przepocić. Taki ôwerol je przeca bardzij porynczny. I ô wiela bardzij szykowny. Jednakò zdatny do arbajtu, na szpilplac, na zolyty, a na impreza tyż!

VÖNFARA:

Mi sie zdo, co te chopy sōm rade tymu ôblyczu. Za to mie wtynczos niy ma nic do śmiychu, bo hażdziel coroz dalij, a mie już blank napiyro. Chop mie uwziyncie ciśnie i durś coś tam smoli ô ôddowaniu jupki. Padōm sie, chop niy dowidzi abo co, bo jo przeca żodnyj jakle niy mōm, yno tyn ôwerol ze kapucōm. I tak rychtig to jo przeca sam yno wloz, coby sie wyjscać i zarozki ciś dalij na cug. Piyrszy roz widza, coby do jscanio trza bōło sie seiblykać z wiyrchnigo ôblyczo. Nale mōm gyfil, co z tym chopym niy bydzie żodnyj godki. Przebiyrōm szłapami choby mody żrebok. Jeszcze chwila i bydzie forbaj. Cołki glik, co ku tymu ôkiynku niy bōło gynał raje. Przeciepołech mobilniok i portōmel do kapsy w galotach i ściepuja ta moja jakla. Pod spodkiym miołech drugo, jednakò jako ta wiyrchnio yno bioło i ze szrajbōnkiym, nale padōm sie, co tyj już niy sebylkōm...

SHAUOT:

Cōż ty nōm sam fulosz! Przodzij ô dynkmalu, a terozki ô szworach. Godej, co dalij?

VÖNFARA:

Ô dynkmalu to tyś napoczōn godka! Dalij cisna drab do wychodka! Chop sie dziwoł na mie sleksza zgorszony, nale mie już wszystko bōło egal. Miołech glik, bo we pojstrzodku blank prozno i mōm gumina, a niy rajsfeszlos eli knefle do rozpinanio przy bōntku. Chopie, ani sie niy poradzisz uzdać, co to je za folga... kej sie tak stojisz przy urynale i...

SHAUOT:

Fōnfara! Przedstow sie, co jo tyż kej ôwdy używōm wychodka!

VÖNFARA:

Ja! Nale wtynczos to jo zdōnżył na ôstatni driker. A lołech bodej...

SHAUOT:

Ty mi, chopie, terozki niy klaruj, jak sie cedzi po poru tyskich. Z tym jestech ôbeznany! Ty mi godej, kaj tyn tyjater!

VÖNFARA:

No! Dyć ci tupluj, Shauot, ôd samego poczōntku, co tyn cołki tyjater bōł we hażlu! Na ôpy! Mōm padać! Hażdziel bōł we tyjatrze!

SHAUOT:

We tym Hipnozie je tyjater?

VÖNFARA:

Tyż sie udziwiłech. Korteze czy jakoś tak... Suchejcie, co dalij! Wylazuja ze tego wychodka, a tu czeko na mie zaś tyn glacaty. Wrażo mi do gorści żetōn ôd szatnie i ciśnie w drugo strōna niżli wynście, na taki winkiel. Pado mi, co mōm sie ale uwijać, bo tref sie zarozki napocznie. Durś niy bōłech przeświadczony, co sam je tak rychtig louz, nale uzdołech, co terozki niy musza sie nikaj uwijać. Cug ô siōdmyj tak by mi już pitnōł, a mōm siedzieć na banhowie i dziwać sie na tych roztomajtych elwrōw, to siedna sie sam, w ciepłym, pofiluja po ludziach, po tych wszystkich gryfnych frelkach, a można trefia tyż jakigo swojoka. Tyjater to żodno atrakcyjo, nale kej mi sie już trefiła tako przileżytoś, a jeszcze na faty, to padōm się: ôstana bez chwilka. Słyszōłech tyż, co kej ôwdy we tyjatrze idzie ôbejrzyć coś do śmiychu, a jak byda miōł glik, to można i sagie baby. Yntlich, jak mi sie zmierznie, to wezna i pōnda weg.

SHAUOT:

Niy godej, co ci tak blank po dobroci ftoś tyjater naporynczył...

VÖNFARA:

Ja, po dobroci... Yhm... Tyś ani niy widziōł tego glacatego pakra... Wkludził mie za taki forhang i skożoł cajgerfingrym wolny zic, kajś we ôstatnij raji. Małowiela lichtu, a zala nafołowano. Zatym trefiłech na plac, pora razy świtnołech kōmuś w szłapa, jakiś babie zdeptōłech strzewiki i yntlich siodłech na klin takimu bulatymu chopu.

JYNKOT:

Aaa te sa... sa... sagie baaaby?

VÖNFARA:

Sagie baby? A, dej pokōj. Ani jednyj. Za to suchejcie! Zarozki na poczōntku, kej yno sie napoczōn tyn tref, na bina wyloz taki ôszrōniały sleksza, sztyjc roześmiōny, modernie a szykownie ôblyczōny chop w ancugu. Sie ôkozało, co ôn napoczōn tyn cołki fest. Zatym sie rozfechtowoł, to fuloł, co je rod i mo w zocy i takie tam inksze farmazōny. Nale, suchejcie terozki! Kōńcym pedziōł, co mōmy sam we Hajmacie ale moc autorōw, kiere szrajbujōm yno po ślōnsku, a niy mo fto szrajbować po polsku. Inkszy, tyż we ancugu, nale taki bardzij bulaty, a blank glacaty, wajōł ôd biny, co mało je echt dramatōw. Takich cniwych a uwożnych. Do myndykowania eli do płaczu. Myśla sie - mało! Po mojemu cołki świot to jedyn wielki dramat! Nale padōm wōm, co lamyncił takim gryfnym, głymbokim gosym, aże frelka po mojj prawicy napoczōna ciynżyj dychać. Jeszcze troszyczka tyj godki i miōłech gyfil, co bydzie fuczyć a styńkać na fol. Nale zaroz wyloz na bina taki wiynkszy, ze

czornôm welôm zaciepninyntôm na czoło. Tyż miół gryfny klang we gosie, nale przy tymu frelka już ustała kwiynczeć. Tyn drugi tymu piyrszemu przykwolił a padōł, co zrobiła sie terozki tako moda, coby szrajbować yno same kōnszta do śmiychu. Anfachowe komedyje. Mocka tego, a wiyunksza zouwizou ô rzić roztrzaś. Padoł, co ônymu sie widzi taki ekstra kōnszt, kiery by szło wystawić na binie we tym epnym tyjatrze na katowickim ringu. Wiycie, hań rajzuje banka. Dalij taki inkszy chop we cwitrze podany na Szōna Kōnery'ego, yno ôn sie mianowoł jakoś tak bardzij po norwesku. Fil Cwist czy jakoś tak... To ôn padoł: „Szlus! Dowōmy nowe prawidła! Na bezrok bydzie kōnkurs na dramat we jednym akcie po polsku!”. Na to taki inkszy, mikry chop we brylach aże hopsnył i pedzioł, co jak yno zyndzie ze biny, to ściepnie szakiet a stanie na gowie, tak je cołki fōrt. „Doś już mōmy tych ślōnskich kōnsztōw. Siedym buchōw my wypuścili i styknie. Terozki bydymy szrajbować a wydować, ale po polsku!” – ôdezwoł sie jeszcze inkszy glacaty chop pod maszkōm, nale ôn zarozki na poczōntku trefu sloz ze biny i ônego ani niy bōło widać.

SHAUOT:

A tyś się, Vōnfara, wtynczos umyślił sztartnōńc we tym kōnkursie?

VōNFARA:

Chopie! Tam idzie milijōn ugrać!

JYNKOT:

Pie... pie... pierōnie! Milijōn?!

SHAUOT:

Ja, yhm...! Toż terozki to już nōm sam nudle wiyszosz!

VōNFARA:

Przeca bych wos niy cyganił! Wtynczos taki jedyn autor tela dostoł! I to za trzeci plac!

SHAUOT:

Ja! Cołki melōn?

VōNFARA:

No dyć! Padōm wōm! Leki geld!

SHAUOT:

Nale to trza mieć troszyczka grajfki do szrajbowanio eli ôbcyklowany jakiś sprawny muster. A ty yno poradzisz rymy frōnkać, i to echt ze gowy bez szrajbowanio.

VÖNFARA:

Chopie! I tu żeś sie szajsnōł, bo jo już szrajbnōł jedyn kōnszt, nale mi sie zdo, co ȃn je troszyczka podany na taki inkszy, co ȃnego już kajś grali... Zatyń niy wymyńdykujaj lepszyszego, tyn zmianowȃłech: Hochcajtfejaj.

JYNKOT:

To je... je... je po polsku?

VÖNFARA:

Przeca godȃm, to yno arbajtmiano! Nale przeciepać to ajnfach na polski niy idzie.

SHAUT:

Po jakimu?

VÖNFARA:

Po polsku by sie mianowȃł „Wesele”, pra? A to już hańdownij grali.

SHAUT:

Ja! Jo to znȃm! Bȃł taki film! Hań durch sie yno prali a ślepali gorzołka. I moc sorȃńsko godali. Nojbardziej taki mikry z dugszymi kudłami. Jako ȃn sie mianowȃł...

JYNKOT:

Ku... Ku... Kubik?

SHAUT:

Ja! Kubik!

VÖNFARA:

Padosz sorȃńsko godali? To niy. To hań niy przyńdzie dalij. Wiyce jakie tam zocne persȃny do takigo tyjatra przilazujȃm? Forsztelujaj, co takie persȃny niy pierȃniȃm jednako kej my. Kej już sie ponagrodzali, to napoczyni czytać ȃd biny bezma trzi kōnszty. I przedstowcie sie, co jo niy dosłyszȃł wtynczos bodej jednego sorȃństwa.

SHAUT:

Smolisz! Sȃm takie ludzie? Dzisiej bajtle na mamlasplacu siarȃniȃm choby werbusy z wulchauzu. Ażaj jo sȃm niykierych ausdrukȃw niy znȃm!

VÖNFARA:

Nale przeca my inaczej niy poradzymy! Jako mȃm szrajbować? „Rudo Ślȃńsko, mȃj faterlandzie, tyś je kej zdrowotnoś. Wela cie trza mieć we wercie tyn yno sie dowiy, fto wybnȃł fort do Rajchu...”.

SHAUT:

Godoleś, co mo być po polsku!

VÖNFARA:

No ja! Toż „Rudo Śląska, moja ojcowizno, ty jesteś jak zdrowie. Ile jesteś warta ten tylko się dowie, kto wyjechał do RFN”... Niy, no! Chopie, ty to słyszysz? Jaki to mo faleszny klang?

SHAUOT:

I mi sie zdo, co jo już coś takigo hańdownij kajś słyszol...

VÖNFARA:

I skuli tego mōm utropa ze tym szrajbowaniym. Zrychtować taki porzōmny kōnszt to niy ma tak rukcug! Czytolech trocha ô tym. Ponoś dobry kōnszt to taki, kaj je źdzybka kwie, troszyczka płaczek, leko do śmiychu. Sowym, rozchodzi sie ô to, coby ukozać cołki wachlyrz roztomajtych przitrefiyń, a ôsobliwie tych niycherskich. Tymu ludzie zowdy przajajōm, a sōm moc ônym interesantne. Wiycie jako? Pożōndliwość, zowiść, ôszyda, cygaństwo, ôbmiłowanie, pragliwość, mordyrstwo, wichlyrstwo... To je zowdy ale fest powobne. Wela bardzij ôszkliwe, lagramynckie, tym lepszyjsze. Tydziyń sie już zwyrtoń choby brynoł Kwoska na karasolu. Sztyry kartki pokryklane i blank bez cweku. Jedna srogo ôstuda. Skiż tego, co: po polsku, blank bez soroństw, zocne a szykowne... Już mie pieron biere!

JYNKOT:

Tooo po pie... pie... pierōna sie taaak starsz?

SHAUOT:

Snadnie Vōnfara mo boczynie na tyn srogi geld!

VÖNFARA:

Skiż tego cołko ta moja utropa. Srogi geld, nale mōm tyż zdzyybko ambicyje. Jo widza tyn mōj kōnszt moderny. Mo być wartko akcyjo. Hań niy majom lazować po binie dwa pynzyjsty i ôsprowiać ô fedrowaniu na grubie, zimōwkach do matiza, fto sie stracił ôńskigo tydnia eli ô sklerōzie kamrata ze elymyntarszuli! A już w żodyn roz niy majōm sie mianować Wiluś, Zeflik eli Jorguś...

SHAUOT:

To można Zdzisław, Wiesław eli Stanisław? Bo mi sie zdo, co rychtig polski miano musowo mo wyrażyni „sław”. Dejmy na to Mirosław.

VÖNFARA:

Ja! Te miana idzie tupłować! Mirosław to „sławiōncy pokōj”.

SHAUOT:

Nō widzisz! Już mosz piyrszy szcich! Władysław to tyn, co mo w zocy władza! Mieczysław ôd miecza. A Bronisław? Bardzij ôd brōniynio sie wziyno eli ôd brōnowanio?

JYNKOT:

Te! A Ja... Ja... Jarooosław?

SHAUOT:

Jynkot! To niy ma dobre miano dlo bohatory! Sławiōncy co? Ziele? Zwyrтка? Kurzynie? Vōnfara niy bydzie przeca szrajbowoł ô jaraniu, bo tedy to niy bydzie zocny kōnszt!

VÖNFARA:

Doczkej yno! Jako niy! Jynkot mo recht! Bydzie gynał fest modernie. Gorzołka, cigarety, zwyrтки, można troszyczka cetli. Wiycie. Takich co bamōncōm pomyslōnek.

JYNKOT:

A kuuu tymu la... la... lajera. Nasza!

SHAUOT:

I musowo sorōństwa! Fol sorōństwa! Kej to mo być po polsku, to jo bych zrychtowoł kōnszt ze samiuśkich sorōnstw!

VÖNFARA:

Cołki karasol roztomajtych persōn! Politykiery, farorze, policaje, Negry, nacjonalisty, skorumpowane fiskoły, pobożne baby, rechtōry, roztomajte dewianty...

JYNKOT:

Sa... sa... sagie baaby!

VÖNFARA:

Ja! Ukożymy cołko ludzko słabowizna. Kōżdo sromota. A miyndzy to już lekuśko sie do wplyś wichlyrstwo, ôstuda i cygaństwo! Pra? Styknie ôpisać tyn świot wele nos.

SHAUOT:

Padosz, co tela ôszkliwości w nos?

VÖNFARA:

Te! Fanzolisz! W nos! W nos niy! My sōm przeca Ślōnzoki! My sōm blank insze!

JYNKOT:

Jaaa! Moosz ôoopisować Po... Po... Polska!

VÖNFARA:

Yno jo poradza szrajbnōńc co po polsku? Kej to mo być tak echt... Ôd herca...
To mi sie tak zdo, co jo po polsku to bydzie fest sztuczne. Bo jo je do imyntu
samstōnd. Poradza godać, myndykować, fabulać, rapować, a rzykać yno tak.
Po naszymu. Tōż szrajbować tyż.

SHAUOT:

To wołej Matousha. Ôn to jakoś wyzgernie szafnie. Ôn po polsku poradzi!

VÖNFARA:

A dej pokōj! Matoush ksiōńżka szrajbuje!

SHAUOT:

A ty sie lepi dej pokōj ze tym cołkim szrajbowaniym! Przeca geld to niy wszy-
sko! Tyjater ôstow dlo tych wysztiglowanych. „Niy mōmy krzideł i beztōż niy
furgōmy...”.

JYNKOT:

I biy... biy... biyra niy mōoomy!

VÖNFARA:

Biyra brakło? Tōż trza sie zbiyrać, chopy! Cisnymy na sidlung!

SKROWKI Z ŻYCIO ZEFLIKA SUCHEGO

Anna Wojtkowska-Witala

WYSTEMPUJOM:

ZEFLIK SUCHY	kiery sie urodził we 1899 roku
ANDRZEJ SUCHY	łociec Zeflika
FRANCISZKA SUCHY	z doma Jastrzymbsko, matka Zeflika
WILUŚ SUCHY	brat Zeflika
KNIPSMAJSTER	
MONIKA	młodszo siostra Zeflika
ANTEK	siostrzyniec Zeflika
TERESKA	ślubno Antka
SZTEFA	siostrzynica Zeflika
ŚPIYWOKI (szttyrech aktorow, abo wiyncyj, wela mocie)	

SKROWEK PIYRSZY

*Na scynie wele stoła siedzom Andrzej i Franciszka
i ich dziecka – Zeflik i Wiluś.*

*Na scyna pomału wlazujom Śpiywoki w biołych szatach.
Stowajom na boku (bydom tam stoć do łostatniego skrowka),
leko sie kiwajom.*

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewiyńset szternosty.
Za łoknym podzim, trocha kido dyszcz.
We izbie przy stole siedzi familio:
Łociec, Matka, dwa synki.
Matka ślimto, Łociec nic niy godo.
Młodszy synek, Zeflik, je wylynkany.
Starszy synek, Wiluś, siedzi sztram
Łobleczony w szwabski wafynrok,
W gości trzimie mydalik z Paniynkom.
We izbie przy stole siedzi familio,

tukej sie dziejo ich tragedyjo:
Wilusia – najstarszego żegnajom,
na wojynka wysyłam...
Żodnemu godać sie niy chce,
Rebelować nima co, kozali mu iść, to idzie.
Jeszcze ino porzykajom wroz,
Wejrzom w markotne ślypia Wilusia.
Terozki wstawajom, idom ku drzwierzom...

WILUŚ:

Bydźcie zdrowi, ło mie sie niy starejcie. Pryndzy byda nazod niż sie spomiar-
kujecie.

FRANCISZKA:

Niyh cie świnynto Paniynka mo we łopiece, niyh... (*zaczyno fest ślimtać*)

ANDRZEJ:

Cicho, matka! Wilusiowi niy trza tera twoich płaczek. A ty, synek, trzimej
sie tam, patrz, cobyś był gibko nazod. Rzykej każdy wieczor i do matki brify
szkryflej.

WILUŚ:

Przyrzekom wom to, łociec. A ty, Zeflik, (*targo bracika za kudly*) dej pozor
na matka i łojca. Terozki ty tu bydiesz najstarszy synek.

ZEFLIK:

Ja, Wiluś, ja... (*Zeflik puko sie bez płaczki i łobejmuje bracika*)

WILUŚ:

Toż chowcie sie.

ŚPIYWOKI:

Drzwirze sie zawarły. Poszed.
Ślonski synek w szwabskim wafynroku.
Łociec trzimie sie za herc, tak mu gańba.
Gańba przed samym sobom, co psincó poradził zrobić.
Prziszoł przikoz, synka trza było dać na wojoka.
Szwabskigo wojoka.
Matka ślimtajom, Zeflikowi już tyż płaczki lecom.
Terozki łostoł som, bo co tam cwilingi we kinderbecie.
Dyć łone nic s tego niy kapujom.
Zeflik łostoł som. Pierońsko mu ckliwo.
Przeca jeszcze przy śniodaniu sie śmioli.
Przeca jeszcze przy łobiedzie godali.

Przeca, przeca...
Terozki przy wieczerzy cichuśko i markotno.
Markotno i cichuśko.

SKROWEK DRUGI

*Na scynie stojom knipsmajster ze knipsaparatomy,
Wiluś łobleczony w ancug i Zeflik w szwabskim wafynroku.*

KNIPSMAJSTER:

Stoj sztram jak wojok, a niy jak byś mioł anglicko niymoc.

ZEFLIK:

Ale jo niy je szwabski wojok.

KNIPSMAJSTER:

Szwabski niy szwabski, każdy wojok stoi sztram.

ZEFLIK:

Nale jo by chcioł być nasz wojok.

WILUŚ:

Dyć wiysz, że to ino na skwol. Uwiej sie, bo zarozki mom cug.

ZEFLIK (*sztramuje sie*):

Tak może być?

KNIPSMAJSTER:

Tak je perfekt. Już cie, Zeflik, knipsuja.

WILUŚ:

Ja, to było perfekt, a terozki sie przeblykomy i leca na cug. Niy moga być niyskoro, bo bydzie, zech pitnoł i mie zawrom. Kaj moja flinta?

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewiyńset siedymnosty.

Lato mo sie ku końcowi.

Niy chcioł Zeflik sie przeblykać w szwabski wafynrok,
nale bracik sie upar.

Wojynka tego Wilusiowi niy zebrała:

Wiluś dali je pośmiywny, dali trzymajom sie go gupoty.

Ino ło wojynce niy chce godać,

zawiyro ślypia, nic niy godo...

Nale zarozki zaś wynokfio jakieś gupoty.

Tak go durś w doma wspominajom:
Tyn jego wiecznie roześmiony pysk.
Terozki ciśnie na cug.
Zeflik stoi za szybom u knipsmajstra i zaś mu ckliwo.
Ckliwo mu za Wilusiym, był w doma ino trzi dni,
i nazod, nazod go wojynka wziyna.
Już wsiod do cuga z innymi wojokami,
już jadom do Francyi.
Jeszcze sie łoglundajom, mono łostatni roz.
Mono łostatni roz sie łoglundajom na dom.
A Zeflik nic niy godo, ni ma mu gańba, że lecom mu płaczki.
Chce łobetrić płaczki i łoroz sie skapnoł, iże trzimie w gości pika.

ZEFLIK:

Wiluś, Wiluś! Przepomniołżeś pika z twoi flinty!

KNIPSMAJSTER:

Łon już pojechał. Już cie niy słyszy.

ZEFLIK:

Sztyry, jedyn, jedyn, siedym.

KNIPSMAJSTER:

Co to godosz?

ZEFLIK:

Czytom cyfry z piki.

SKROWEK CZECI

*Przi stole siedzom Franciszka i Andrzej. Pijom tyj.
Łoroz do izby wlatuje Zeflik. W gości trzimie brif.
Stowo przed łojcym i wyciongo do niego rynka z brifym.*

FRANCISZKA:

W imie Łojca i Syna.

ANDRZEJ:

Cicho!

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewynset łosiymnasty.
April. Koniec aprila.

Drzwiyrze się łotwarły. Wlecioł.
Wlecioł do izby luft z Francyi.
Luft z Beugny.
Luft a s nim śmiyrtka.
W izbie zawoniało śmiyrtkom.
W izbie stało sie cichuśko.
W izbie popłynęły płaczki.
Ni ma już kaprała.
Ni ma już Ślonzoka.
Ni ma już Wilusia.
Ni ma już bracika.
Ni ma już synoczka.
Łojciec nic niy godo.
Zeflik łyko płaczki.
Matka ślimto na cołki głos.

FRANCISZKA:

Wiluś, moj Wiluś! Niy wierza, niy wierza. (*klynko*) Byda cie wyglondała do
moi śmiyrtki. Byda na ciebie czekała...

ANDRZEJ:

Cicho, matka, cicho... (*klynko przy ni i łobejmuje jom. Zeflik łobciyro płaczki*)

SKROWEK CZWORTY

*Zeflik stoi w drzwiyrzach.
Łobleczoney je w hymda, galoty, wysoki szczewiki,
na rynkowie mo bioło-czerwono łopaska, na gowie czopka z orzełkiym.*

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewiynćset dwadziesty piyrszy.
April już sie mo ku końcowi.
Już maj puko do drzwiyrzy.
Już Ślonsk mioł być polski,
jeszcze trza trocha na to poczkać.
Jeszcze trza powojować.
Jeszcze pora duszyczek trza Bogu posłać...
Andrzej durś pamiynto ło Wilusiu,

co doł mu wojować w szwabskim wojsku.
Andrzejowi durś gańba przed samym sobom,
bestuż Zeflika posłoł do powstania.
Do trzecigo powstania.
Ku łodkupiyniu winy...
Terozki sie żegnajom.
Żodnymu godać sie niy chce.
Jeszcze ino porzykajom wroz,
wejrzom w modre ślypia Zeflika.
Terozki wstowajom, idom ku drzwiom...

ZEFLIK:

Bydźcie zdrowi, ło mie sie niy starejcie. Pryndzy byda nazod niż sie spomiar-
kujecie.

FRANCISZKA:

Niyh cie świynto Paniynka mo we łopiece, niyh... (*zaczyno fest ślimtać*)

ANDRZEJ:

Cicho, matka! Zeflikowi niy trza tera twoich płaczek. A ty, synek, trzimej sie
tam, patrz, cobys był gibko nazod. Rzykej każdy wieczor.

ZEFLIK:

Toż chowcie sie.

SKROWEK PIONTY

ŚPIYWOKI:

Franciszka depto po łonce i zbiyro podbioł.
Żółte kwiotki ususzy w bradrule,
bydzie z nich zimom tyj.
Żodnyego niy chyci ryma i charlanie,
jak bydom to pić.
Franciszka je wele łolszyn,
już i sie zdo, iże cosik tam je.
Mono to jaki wieli pies, mono jaki pijok.
Depto po cichuśku,
cosik jom korci, żeby łobejrzyć, co tam je.
Jeszcze ino pora krokow i łoboczy...
Jeszcze ino pora krokow

i już ścisko Zeflika, kiery ledwo dycho.
Drałowoł piechty sztyry dni, dar do dom.
Spod Annabergu drałowoł,
ale Franciszka jeszcze tego niy wiy.
Wiy ino, iże jeji synek je nazod,
iże jeji płaczki go trocha opamiyntały.
Iże te wieli modre ślypia na nia wejrzały,
iże gymba leko sie uśmichnyła.

ZEFLIK:

Mamulka!

SKROWEK SZOSTY

*Przi stole siedzom Franciszka, Andrzej i Zeflik.
Na blacie leżom powstańcze łodznacznia,
kiere dostał Zeflik po trzecim powstaniu.*

ANDRZEJ:

Trza to kajś schronić.

FRANCISZKA:

Łojciec mo recht.

ZEFLIK:

Dobra, jo wom pomaga to kajś zakopać.

ANDRZEJ:

Niy. *(wstowo i wylazi z izby)*

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewiynćset trzidziysty dziewionty.
Tysionc dziewiynćset szterdziysty, szterdziysty drugi i trzeci...
Zaś niyftorym trza is za wojokow,
zaś łojce nic niy godajom,
zaś matki płaczki lejom.
I zaś trza sie boć ło swoich, ło sia...
Trza wiedzieć, co godać i komu,
niy wiadomo, kto swoj, kto cudzy,
a jeszcze wczora i ci, i tamci byli Ślonzokami.
Terozki jedyn Polok, a drugi Szwab.

Andrzej wylazi s izby na dwor.
Idzie po cimoku, idzie som,
trzymie w gości blaszano krzinka,
we kiery we szmacie som Zeflikowe łodznaczynio.
Krziż za trzeci powstanie.
Andrzej po cimoku kopie doł,
s namaszczywym wkłodo tam krzinka,
pomału suje zymia nazod. Uklepuje.
Depto do dom.
Po wojnie im powiy, kaj to zakopoł.
Po wojnie, jak już bydzie zicher...
Andrzej depto do dom i ni wiy,
iże Pon Boczek go zabiere w szterdziestym trzecim,
iże żodnymu nic już niy zdonży pedzieć.
Iże Zeflikowe łodznaczynio bydom kajś we zymi na wieki...

SKROWEK SIODMY

*Zeflik czympie przed starom chałpom.
Wele niego stojom jego młodszo siostra Monika i siostrzyniec Antek.*

MONIKA:

Zeflik, niy dej sie prosić. Przekludź sie do nowy chałpy.

ANTEK:

Ujek, tam bydziecie mieć swoja izba.

ZEFLIK:

Niy. Tukej chca umrzyć. Tukej zech żegnoł Wilusia, jak szeł na wojna, tukej zemrzili łojciec, a potym matka i tukej doczkom śmiyrtki.

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewińćset sześdziesionty drugi.

Staro chałpa sie wali,

nowo piyknie wyrzychowano.

Nic ino wziońć klamory i sie przekludzić.

Som tacy, kierzy sie przekludzajom,

a som tacy, kierzy łostajom na starym.

Starych drzew sie niy przesadzo –

tak ftoś han kiejsij pedzioł.
Starych drzew sie niy przesadzo –
tako i Zeflik czuł.
Chcioł być tam, kaj mioł swoi spominki:
ło matce,
ło łojcu
i ło Wilusiu, za kierym nojbardzi mu było ckliwo.
Dali mu pokoj. Pozwolili łostać.
Żył, jak chcioł:
kurzył cygareta za cygaretom,
łaził po hasiokach,
zaprawioł mlyko do krauzow,
czympoł cołkie dni przed starom chałpom.
Spominoł stare dzieje.
Dali mu pokoj, ale niy wszyscy...

SKROWEK ŁOSMY

*Zeflik czympie przed starom chałpom.
Wele niego stojom jego siostrzynica Sztefa
i jego siostrzyniec Antek ze żonom Tereską.
Przi Zefliku stoi wielo rajzyntasza.*

ZEFLIK:

Sztefa, jo niy chca sie wykludzać.

SZTEFA:

Jo wom znodła piykne miyszkani w Katowicach. Tam bydziecie mieć łogrzy-
wanie z miasta i ciepło woda.

ZEFLIK:

Ale mie tu dobrze...

ANTEK:

Sztefa, jak łon niy chce, to go łośtow.

SZTEFA:

Niy, tak postanowione.

TERESKA:

Ale łon niy chce...

SZTEFA:

Ty tu ni mosz nic do godanio.

Sztefa biere rajzyntasza i wylazi ze scyny.

SZTEFA (*głos zza scyny*):

Zeflik, idziecie!?

ZEFLIK:

Teresko, czamu łona mi koże sie przekludzać? Jo niy chca...

TERESKA:

Jo niy wiym, co łona se ubzdurała. Bydźcie zdrowi.

ZEFLIK (*wstowo i ścisko za rynce Tereska i Antka*):

Toż chowcie sie (*pomału ślazi ze scyny, a za nim Tereska i Antek*).

ŚPIYWOKI:

Momy rok tysionc dziewiynćset łosiyndziesionty szosty.

Zeflik wykludził sie ze stary chałpy bez lato.

Lato gibko przeszło.

Zeflikowi sie cniło za starym,

Zeflik pomału sie tracił.

Przyszed podzim: wrzesiyń, październik i listopad.

Dziesionty listopad, pyndzialek,

we kiery duszyczka Zeflika poszła kajś tam...

Ku matce, ku łojcowi

i ku Wilusiowi.

.....
Przeszoł rok. Prziszed nowy podzim.

Antek rozwalił staro chałpa,

oklupywoł cegła po cegle,

aże niy zostało nic ino pika.

Ja, Antek jom znod wciśniynto miyndzy stare dechy.

Terozki jom trzimie we swoi chałpie –

pika po Wilusiu.

Ino niy znod łodznaczyń łod Zeflika...

Śpiywoki ślążom ze scyny.

Łód autorki:

Terozki jo stowom na łące i wiyem, iże kajś tu, abo kajś tam, som zasute ziyimom Twoi łodznacznio. Ino kaj? Jescze pamiyntom łolszyny, kajżeś ponoć pod ledwo żywy... Łojciec mi je pokozoł. Dzisiej ich już ni ma. Jo Cie, Zeflik, pamiyntom, miała żech dwanoście lot, jak Cie Ponboczek zebroł. Tak bych chciała, coby pamiyńć ło Tobie była durś... Niy mioleś swoi baby ani dziecek, ni ma Twoich łodznaczyń ze powstania, bestuż ta jednoaktowka. Ku Twoi pamiyńci.

Skończyłam pisać 10 listopada 2019 roku, trzidziści trzi lata po Twoim umrzyniu.



WYDAWCY:

iM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
dla odmiany

PATRONAT MEDIALNY

GAZETA
wyborcza

• ISBN 978-83-953626-2-0 •